DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 43.] SOBOTA 10. GRUDNIA 1910. [Rocznie......10 K (4 Rb., 8 Mk. [Półrocznie 5 K (2 Rb., 4 Mk.

Stan polityczny kraju.

Poczucie, że w kraju źle się dzieje, jest dzisiaj wśród społeczeństwa naszego tej dzielnicy bardzo powszechne i bardzo silne. Z każdego zetknięcia się z biegiem i nastrojem życia publicznego i spraw politycznych w różnych stronach kraju, z każdej rozmowy z ludźmi stykającymi się bezpośrednio z polityką i z urzędowaniem władz politycznych, płynie głębokie przygnębienie. Czy wszystkie sądy, spostrzeżenia i wrażenia są mylne, bezpodstawne lub oparte na prostem niezrozumieniu sztuki rządzenia?

Sprawa ruska w kraju naszym przedstawia się obecnie wręcz groźnie. Stosunki polityczne wśród stronnictw polskich są nad wyraz niepomyślne. W obu tych dziedzinach zaważyło i waży oczywiście najwięcej stanowisko rządu krajowego, którego polityka budzi wiele zaniepokojenia. Ten stan rzeczy omówić należy z całą oględnością, z całą rozwagą, z całym spokojem. Oceniając politykę rządu krajowego, można i trzeba uszanować osobę p. Namiestnika, jego żmudną pracę na bardzo trudnem stanowisku, znakomite zdolności, czystość dążeń narodowych. W grę wchodzą tu tylko poglądy polityczne, a wiadomo, że obecny Namiestnik ma poglądy bardzo wyraźnie zaznaczające się i przeprowadza je ze stanowczością, wytrwałością i wyłącznością, któremi się odznacza. Poglądów tych można nie podzielać, albo co najmniej nie rozumieć ich słuszności, a wtedy wolno zapewne to powiedzieć.

*

Przewodnią myślą polityki p. Namiestnika w sprawie ruskiej jest dążenie do jakiegoś jeśli nie zupełnego to przynajmniej znośnego porozumienia się ze stronnictwem ukraińskiem, oczywiście przez zadowolenie go i uspokojenie. Dążenia tego nikt uznać nie może, biorąc rzecz zasadniczo i oderwanie, za zdrożne. Ale wśród najpoważniejszych naszych polityków i wśród tych warstw obywatelskich, które myślą politycznie, przeważa zdanie, że jest to dążenie bezcelowe, z tego względu, że z tem właśnie stronnictwem ukraińskiem nigdy się nie porozumiemy i nigdy go nie zadowolimy. Stronnictwo to, dążące do podziału kraju i wyparcia polskości z jego części wschodniej za San, chce nie porozumienia lecz walki, tylko hasłami walki i nienawiści żyje i utrzymuje się, żadnemi zdobyczami nie zadawala się, a tylko wzmacnia się niemi do tem bezwzględniejszej walki. Gdy do dawnego równouprawnienia języka ruskiego w szkole, sądzie i urzędzie, dodano gimnazya ruskie, gdy wspomagano organizacye ruskie zwalczające polskość, gdy w trójnasób pomnożona została przez reformę wyborczą parlamentarną liczba posłów ruskich, stronnictwo ukraińskie stawało się nie coraz umiarkowańszem, ale coraz zacieklejszem. I trzebaby rzeczywiście iść przeciw wszystkim doświadczeniom i przeciw namacalnej oczywistości, aby twierdzić, że to się zmieni, i aby nie uznać, że każda nowa miękkość wobec stronnictwa ukraińskiego będzie dlań tylko nową podnietą do dalszych zamachów. Dlatego to dotychczasowi kierownicy naszej polityki, a także naczelnicy rządu krajowego od czasu, gdy ukształtowało się stronnictwo ukraińskie w dzisiejszej swej postaci, więc namiestnicy Piniński i Potocki, chociaż bardzo gorliwie pracowali nad załagodzeniem sprawy ruskiej i bardzo dużo robili dla ludności ruskiej, jednak nigdy nie sądzili, że jedynymi jej przedstawicielami i jedynymi pośrednikami są przewódcy i posłowie ukraińscy, wpływów ich i znaczenia nie wzmacniali, a nawet przeciw temu stronnictwu bezprawia i gwałtu stanowczo występowali zarówno wobec rządu wiedeńskiego jak w zarządzeniach wydawanych władzom politycznym w kraju. Pod tym względem zmiana kierunku w polityce rządu krajowego jest bardzo wyraźna i bardzo ważna. Dawniej robiło się dobrze dla ludności ruskiej a zarazem zwalczało się stronnictwo ukraińskie, jako żyjące z waśni narodowej i z nienawiści, teraz zaś załatwianie sprawy ruskiej polega na zadawalaniu stronnictwa ukraińskiego, na używaniu we wszystkiem pośrednictwa posłów i przewódców ukraińskich i utrwalaniu ich wpływów. Dla ludności ruskiej nie robi się teraz więcej niż za dawniejszych namiestników, robi się więcej i to dużo więcej tylko dla stronnictwa ukraińskiego, któremu ułatwia się zdobycie wyłącznych i nieograniczonych rządów wśród całej ludności ruskiej.

Ta myśl przewodnia polityki ruskiej obecnego Namiestnika uwydatniła się w wielu kierunkach i w wielu wypadkach.

Co się stało po zamordowaniu ś. p. namiestnika Andrzeja Potockiego? Była to chwila przełomowa. Kiedy dokonana została ta straszna zbrodnia, która się wylęgła w stronnictwie ukraińskiem, wtedy zdawało się, że przeciw stronnictwu terroru i mordu zwrócą się najostrzejsze środki prawa i ładu państwowego.

Tymczasem chwila ta stała się rzeczywiście przełomową ale w kierunku odwrotnym: zaczął się okres układów ze stronnictwem ukraińskiem, dogadzania mu, utrwalania jego wpływów. Przymknięto najzupełniej oczy na związek morderstwa ze stronnictwem ukraińskiem. Pozwolono na wysławianie zbrodni i mordercy w taki sposób, że poprostu wierzyć się nie chciało, aby coś podobnego można było pisać i głosić bezkarnie (por. „Tło procesu“ w nr. 9. *Rpltej* z d. 1. maja 1909). Przyczyniono się do ułaskawienia mordercy, co w ludności ruskiej kraju było hasłem zupełnego przewrotu wszelkich pojęć prawnych. A stronnictwu ukraińskiemu wysławiającemu zbrodnię, na najbliższej sesyi sejmowej po morderstwie, przy pomocy bezprzykładnego nacisku na większość polską, oddano miejsce członka Wydziału krajowego, które można było oddać umiarkowanemu starorusinowi. Taki to był przełom, w takim duchu pokierował wówczas naszą polityką ruską nowy naczelnik rządu krajowego. Był to błąd straszny, który zaciężył nad naszym krajem i jego przyszłością. W pierwszej chwili po morderstwie, kiedy jeszcze można było sądzić, że władze państwowe wystąpią stanowczo, padł strach na stronnictwo ukraińskie i jego posłów i wtedy ogłaszali pp. Romańczuk i Kost' Lewicki, że „stronnictwo ukraińskie stoi zdala od tej zbrodni“, że „nikt nie był przygotowany na tę zbrodnię i każdy musi ją potępić“, wtedy pp. Romańczuk i Wassilko złożyli deklaracyę że „prezydyum klubu ukraińskiego potępia czyn Siczyńskiego“, wtedy p. Romańczuk szedł w orszaku pogrzebowym. Ale gdy tylko się okazało, że rząd będzie miękki, że ze zbrodnią można solidaryzować się bezkarnie, pp. Romańczuk i Wassilko usprawiedliwiali się w kilka dni później przed zgromadzeniami ruskiemi z tych pierwszych czynów, została niesłychana pewność siebie, rozzuchwalenie, przekonanie, że terror i morderstwo to najlepsza droga. I to właśnie stanowi dzisiaj naczelne wierzenie polityczne stronnictwa ukraińskiego. A niema ważniejszej sprawy polsko-ruskiej, przy którejby *Diło* nie groziło zdaniem, które ciągle tam powraca: „Widać że śmierć hr. Potockiego niedość jeszcze nauczyła Polaków“.

Stosunek rządu krajowego do stronnictwa ukraińskiego uwydatnił się dalej bardzo uderzająco w jego stanowisku wobec ukraińskich organizacyi wiejskich, wobec t. zw. siczy, które są najwyraźniejszemi bojówkami ukraińskiemi. Czy znajdzie się ktoś, ktoby zaprzeczył, że w całej wschodniej części kraju nie raz i nie dwa razy, ale setki i tysiące razy chłopi polscy słyszeli z ust siczowców pogróżki podpalenia, zepsucia studni, pobicia, jeżeli w sprawach politycznych nie pójdą za wolą ukraińców? Terror sięga jednak jeszcze dalej i wyliczać można wieś za wsią, w której chłopi polscy, którzy np. zgłosili się na wycieczkę do Krakowa, już po opłaceniu kosztów nie stawili się z powodu pogróżek siczowców, nie pozwalających chłopom polskim na zobaczenie grodu podwawelskiego i umocnienie się w uczuciach narodowych. Trzebaby być ślepym, aby nie widzieć, że takie stosunki niszczą zupełnie wśród ludności poczucie prawa, a jeszcze bardziej ślepym, aby nie widzieć, że są to nie zabawy i igraszki ale bardzo świadomie przygotowywane rozruchy hajdamackie, gdy nadejdzie stosowna chwila. A jednak rząd krajowy patrzy na te stosunki bezczynnie i sicze czują się dzisiaj bezpieczniej niż kiedykolwiek.

Sprawa żulińska odsłoniła także zadziwiającą miękkość władz wobec agitacyi ukraińskiej. Przedewszystkiem pozwolono prasie ukraińskiej szerzyć z tego powodu kłamstwa i oszczerstwa, podniecające umysły, ukazujące ludowi ruskiemu nowego trupa ruskiego, dziecko zabite przez Lachów, które powinno być pomszczone. Ileż razy pisma polskie, gdy podały mylną wiadomość, często małej wagi, o władzach państwowych, czy to politycznych, czy sądowych, czy innych, otrzymywały z prokuratoryi urzędowe sprostowanie, które musi być zamieszczone. Tu nie zrobiono niczego podobnego i pisma ruskie kłamały i podburzały bezkarnie. Jest to zresztą zjawisko nie oderwane ale stałe; tak samo gdy ruscy studenci sami zabili na uniwersytecie swego kolegę Kockę, pisma ruskie kłamały, że padł on z ręki polskiej i wołały o pomstę za tego trupa. Wiadomo zaś co znaczą takie wezwania w *Dile,* bo przecież pierwsze słowa mordercy ś. p. Andrzeja Potockiego były: „to za Kahańca“ t. zn. za owego wieśniaka, który rzucił się w czasie wyborów na żandarmów, został raniony bagnetem i zginął. Przewódcom ukraińskim potrzeba trupów, potrzeba żagwi rozpalających umysły, potrzeba krwi, więc kłamią. Dlaczego władze państwowe, które chyba także rozumieją albo powinny rozumieć, do czego zmierzają takie kłamstwa i podżegania, pozwalają na szerzenie ich? Ale w sprawie żulińskiej, jak w wielu, bardzo wielu innych, o których nie tak głośno i o których wiedzą tylko ci, co na tem cierpią, uwydatniło się inne jeszcze zło naszych stosunków, mianowicie agitacya i polityka w urzędzie, uprawiana bardzo powszechnie przez urzędników przynależnych do stronnictwa ukraińskiego. Dopiero pisma polskie i badania nauczycieli polskich przyniosły wiadomości o dziwnem zachowaniu się sędziego śledczego Rusina, który śledztwo zaczął od odwiedzenia Proświty celem porozumienia się z miejscowymi prowodyrami ukraińskimi, a następnie wniósł do Rady szkolnej okręgowej fałszywe doniesienie o śledztwie wstępnem (§ 91) przeciw Br. i M. Greissom, podczas gdy odbyły się tylko dochodzenia przygotowawcze, a to fałszywe doniesienie spowodowało zawieszenie Greissów w urzędowaniu i pomogło do wydęcia całej sprawy. Władze naczelne krajowe nie zaniepokoiły się jednak wcale temi nieprawidłowościami i dopiero postronni musieli je na jaw wydobywać. Jeszcze gorsze i grubsze nadużycie urzędowania wyszło na jaw co do żandarmów w Żulinie, którzy od szeregu lat pozwalają siczowcom znęcać się nad ludnością polską, rozkopywać grób dziecka nauczyciela, a którzy teraz poprostu wyduszali z dzieci i starszych fałszywe zeznania. Już w czasie sesyi sejmowej posłowie polscy wobec p. Namiestnika kilkakrotnie zapytywali, jak to możliwe, aby ci żandarmi choćby dzień dłużej urzędowali w Żulinie i czy wogóle możliwe jest, aby zatrzymani zostali w służbie. Ale władze nasze, które nauczycieli polskich zawieszają

w urzędowaniu na podstawie fałszywych doniesień, są głuche i ślepe, gdy chodzi o sędziów ukraińskich i żandarmów ukraińskich, jaskrawo nadużywających władzy urzędowej.

Także w Sejmie polityka ruska rządu krajowego zaznacza się wyraźnie a dla nas dotkliwie. Opór przeciw burdom ruskim, uchwalenie budżetu i przygotowanie najzupełniejsze uchwały w sprawie reformy wyborczej, było dziełem i zwycięstwem większości polskiej i p. Marszałka. Ostatni dzień Sejmu był zaś dziełem p. Namiestnika, a dzieło to nazwać się musi nie inaczej jak zmarnowaniem całego zwycięstwa polskiego. Gdy posłowie ukraińscy poprostu ugrzęźli w bagnie, gdy byli ośmieszeni, gdy nawet Wiedeń przeciw nim się stanowczo oświadczył, gdy jednem słowem chwila była dla nich jak najgorsza, p. Namiestnik wydobył ich z bagna, postawił ich znowu na nogi, dał im pozory ustępstw polskich, które wystarczyły, by natychmiast otrąbili swe zwycięstwo, a przedewszystkiem sprawił, że sprawa się przewlekła, że powróci na najbliższej sesyi w tem samem stadyum, że zacznie się znowu walka o zasady reformy wyborczej, podczas gdy to powinno było po tylu wysiłkach być już załatwione. Tej polityki nikt nie zrozumie. Zdawało się, że gdy większość polska i rząd krajowy, który ma oczywiście obowiązek łagodzenia w pewnych uczciwych granicach, poczyniły wszystkie kroki celem porozumienia się z posłami ruskimi, a mimo to stronnictwo ukraińskie obrało drogę burd i gwałtów, zdawało się, że w takiej chwili rząd krajowy postara się przedewszystkiem o jasne przedstawienie czynnikom wiedeńskim, kto są ukraińcy i do czego zmierzają. Tymczasem odpowiedzią za gwałty były umizgi, ustępstwa i przysługi, było poprostu uświęcenie i nagrodzenie tej terrorystycznej roboty.

Dalszym objawem korzystnej dla stronnictwa ukraińskiego polityki rządu krajowego, a zarazem bardzo namacalnem ukazaniem skutków tej polityki są wybory do Rad powiatowych, które w ostatnich miesiącach odbyły się w całym szeregu powiatów we wschodniej części kraju. W wielu powiatach, a mianowicie w czortkowskim, brzeżańskim, rohatyńskim, husiatyńskim ukraińcy uzyskali wszystkie mandaty z mniejszej własności, t. zn. 12 na 26 całej Rady. Polska ludność wiejska tych powiatow, gdzie ostatecznie dochodzi ona do 15—25% nie będzie miała żadnych przedstawicieli, tak samo jak umiarkowana ludność ruska. Otóż z dokładnych wiadomości pochodzących z miejsc danych wynika, że starostowie nie tylko nie zwalczali stronnictwa ukraińskiego, ale nawet pomagali mu.

Wiadomo, że w powiecie borszczowskim starosta wraz z kilkoma warchołami magnackimi obalił dwu najczynniejszych działaczy polskich pp. Czarkowskiego-Golejewskiego i Dzierżka, a poparł p. Damiana Sawczaka, przebiegłego przewódcę ukraińskiego, który obecnie jako wiceprezes Rady będzie rządził autonomią powiatu, a chociaż mówiono, że starosta działał tu nie w myśl poleceń namiestnictwa, jednak w to trudno przecież uwierzyć, bo przecież starosta musiał wiedzieć czego namiestnictwo chce naprawdę i musiał mieć odpowiednie polecenia.

W powiecie czortkowskim przy pierwszem głosowaniu lista ukraińska i lista kompromisowa polsko-ruska uzyskały równą ilość głosów, dopiero przy drugiem głosowaniu, nie bez wpływu ze strony starosty, zwyciężyła lista ukraińców, którzy zabrali wszystkie 12 mandatów.

Wybory powiatowe brzeżańskie dosadnie malują obecne stosunki w kraju. Przy wyborach delegatów wyborczych osławiony poseł Tymko Staruch, b. żandarm, przepadł we własnej gminie, której jest wójtem zawieszonym w urzędowaniu z powodu nadużyć. Zmusił jednak wybranego delegata, by zrezygnował z wyboru. Nic to nie znaczy, gdyż ustawa nie przewiduje ponownych wyborów delegata i rzeczywiście starosta, gdy p. Staruch zażądał ich, odmówił. Ale oto teraz wypadki nad wyraz ciekawe. W przeddzień wyborów do Rady powiatowej, zjawia się ponownie p. Staruch w starostwie i wzywa starostę, by urządził wybory w jego gminie, oświadczając mu, że dostanie telegram z namiestnictwa, polecający mu, aby to zrobił. Wybory zostały zarządzone, p. Staruch, którego powaga wzrosła oczywiście po takim przebiegu sprawy i wobec wyborców i wobec starosty, został delegatem, a następnego dnia na zebraniu delegatów, na którem on oczywiście był osobistością kierującą, członkiem Rady powiatowej wraz z całą listą ukraińską w liczbie 12, w powiecie, w którym jest 27% Polaków. Działo się to dnia 18. listopada, równocześnie z zamknięciem Sejmu, gdzie p. Staruch tak się odznaczył i ostatecznie przekonał się, że gwałtami i muzyką wyjednywa się dzisiaj szczególne względy nawet przeciw postanowieniom ustawy. Jak takie rozporządzenia działają na ludność, jak na starostę i urzędników, łatwo zrozumieć.

W powiecie rohatyńskim, gdzie także zwyciężyła lista ukraińska w małej własności, oświadczają ukraińcy, że nie dopuszczą do przewodniczenia nowego prezesa Rady. Jest to przedsmak nowego okresu w naszej autonomii powiatowej. Dodać trzeba, że w czasie sesyi sejmowej odzywały się głosy wahania, czy wogóle przyjmować prezesurę Rady, w której połowę głosów mają hajdamacy do wszystkiego gotowi.

Nie budzi także zadowolenia polityka rządu krajowego wobec stronnictwa t. zw. staroruskiego albo moskalofilskiego, szczególnie w zestawieniu z polityką wobec ukraińców. Jedna rzecz jest pewna: my nie możemy samochcąc wpuścić sobie rosyjskości do kraju, w ktorej ludu rosyjskiego nie ma i nie możemy w naszej wiekowej walce z Rosyą stwarzać sobie niepotrzebnie jeszcze jedną dzielnicę sporną. Ale kto wie, czy ostre środki obecnego kierunku są lepsze niż np. te, których używał ś. p. Potocki. Wiadomo bowiem, że w owem stronnictwie moskalofilskiem są dwa odłamy: jeden pp. Korola, Hlibowickiego i innych, którzy z Rosyą nic wspólnego nie mają i uznają polityczną odrębność ludu tutejszego, drugi pp. Dudykiewicza, Markowa, którzy chcą być Rosyanami. Łagodna polityka ś. p. Potockiego sprawiała, że stronnictwo to miało coś do stracenia, zachowywało się często poprawnie i wte-

dy górą byli pp. Korol i Hlibowicki a rosyjskości w kraju nie szerzono. Teraz, wobec ostrej walki, wysunęły się i tam na czoło żywioły i dążenia radykalne i naprawdę szerzy się rosyjskość. A kto wie czy z umiarkowanymi starorusinami, którzy są nimi właściwie tylko dlatego, że nie chcą być hajdamakami, nie łatwiejby było dojść w wielu sprawach do porozumienia, niż z ukraińcami, którzy zasadniczo chcą walki a nie spokoju.

Wszystkie powyższe dane wskazują jasno, że rząd krajowy jest miękki wobec stronnictwa ukraińskiego, że nie zwalcza jego zbrodniczej agitacyi, jego bojowej organizacyi, że popiera jego rozrost. Jeszcze parę lat takiego kierunku a zmieni się postać kraju. Równocześnie zaś stronnictwo ukraińskie staje się nie bardziej umiarkowanem ale coraz napastliwszem: gorsze od dawnych gwałty uniwersyteckie, pierwsze wielkie zaburzenia sejmowe, coraz groźniejsze napięcie agitacyi i rozzuchwalenie w całym kraju, a w parlamencie nawet z ust p. Oleśnickiego w ostatnich dniach zapowiedzi o „walce do ostatniej kropli krwi".

*

W związku z polityką ruską p. Namiestnika mówić trzeba o jego polityce wśród stronnictw polskich. Ale o tem mówiło się już dużo i wystarczy tylko wspomnieć o rzeczach tych ogólnie znanych.

Powolnymi i wytrwałymi zabiegami, uwieńczonymi pełnem powodzeniem, p. Namiestnik stworzył nową większość skupioną około jego osoby, a składającą się z tych konserwatystów, którzy mu są zupełnie oddani, z ludowców p. Stapińskiego i z demokratów p. Lea. Natomiast mniej się liczy p. Namiestnik ze stronnictwem ziemian wschodnio-galicyjskich a zwalcza ostro stronnictwo demokratyczno-narodowe. Nikt nie zaprzeczy, że na taki układ stronnictw wpłynął charakter polityczny p. Namiestnika, który niechętnie widzi obok swego zdania inne zdania, nie potrzebuje nigdy rady i dlatego zamiast stosunków z ludźmi, którzy mają własną myśl polityczną, woli stosunki z ludźmi, z którymi poprostu zawiera się układ i których ma się na zawołanie.

Jeżeli obecny układ stronnictw łatwo zrozumieć ze względu na usposobienie naczelnika rządu krajowego, to może jednak trudniej będzie kiedyś historykom politycznym naszego kraju zrozumieć, dlaczego właśnie taki układ stronnictw odpowiadał interesowi narodowemu. Żeby ludowcy i demokraci przedstawiali żywioł pod względem narodowym bardziej dodatni niż ziemianie wschodnio-galicyjscy i demokraci narodowi, to nie każdemu pomieści się w głowie. Co do ziemian wschodnio-galicyjskich, mówi się, że p. Namiestnik nie może z nimi osiągnąć porozumienia z powodu swej polityki ruskiej. Ale to właśnie świadczy, jak źle sprawy się układają i rzeczywiście niewiadomo dokąd zajdziemy, jeżeli politykę ruską będzie się robić bez ziemian wschodnio-galicyjskich, którzy chyba mają z nią coś do czynienia. A co do stronnictwa demokratyczno-narodowego, jest rzeczą pewną, że samo ono hasłem wymiany mózgów ściągnęło na się ostrą walkę. Ale znowu zważyć należy, że p. Namiestnik zwalczał nie p. Grabskiego, ale przedewszystkiem p. Głąbińskiego, jednem słowem dążył i dąży nie do poprawy ale do zniszczenia stronnictwa demokratyczno-narodowego.

Gdy rząd krajowy walczy, lecą drzazgi, lecą z budowli narodowej. Więc np. w walce z ziemianami wschodnio-galicyjskimi utracił p. Namiestnik na dwa lata Radę Narodową, a teraz odbudowano ją tak, że trzeba na nią dobrze chuchać, aby żyła. A np. w walce z demokracyą narodową oddało się tarnopolską radę miejską w ręce sojuszu rusko-żydowskiego, byle nie dopuścić demokratów narodowych.

I pod tym względem p. Namiestnik ukształtuje stosunki w kraju inaczej niż je zastał. A pytanie, czy lepiej będzie jeżeli zamiast Pinińskich, Starzyńskich, Kozłowskich, Cieńskich, Głąbińskich, Adamów, utrwalą się wpływy Wodzickich, Leów, Stapińskich, Germanów, wystarczy postawić, a odpowiedź może sama się nasunie.

*

Stan polityczny kraju nie jest zatem zadowalający i właśnie polityka rządu krajowego budzi wiele niepokoju. Rzecz jasna, że za wszystko zło, które dzieje się w kraju, nie można winić p. Namiestnika. Niebrak winowajców wśród dzisiejszych naszych przewódców i działaczy politycznych i jeżeli gdzie, to w tem piśmie wbród było ujemnej oceny gdziekolwiekbądź należało ją skierować: do polskiej większości sejmowej np. za opłakany nastrój na sesyi zimowej b. r., do Koła Polskiego i jego kierownictwa np. za odurzanie się akcyą pojednawczą w parlamencie lub za przypieczętowanie jej układem w sprawie subwencyi hodowlanych a przedewszystkiem za haniebne stosunki wewnętrzne w Kole, do unii demokratycznej i jej twórców pp. Grabskiego i Leo za hasło i politykę wymiany mózgów, do p. Stapińskiego za warcholstwo i sprzedajność, do stronnictwa demokratyczno-narodowego za demagogię, do obozu konserwatystów krakowskich za ich łatwe godzenie się z polityką brudnych dróg i nędz ludzkich i t. d., i t. d. Jest jednak rzeczą oczywistą, że ogromna część odpowiedzialności za stosunki polityczne w kraju spada na naczelnika rządu krajowego, szczególnie gdy tak stanowczo wnosi on w nie swoje poglądy polityczne i sposoby działania, jednem słowem całą swoją istotę i całe swe usposobienie polityczne. Niesprawiedliwością byłoby nie uznać, że niezwykle wybitne zdolności, które p. Namiestnik z taką gorliwością oddaje na usługi kraju, muszą zaznaczać się na każdym kroku i w wielu sprawach przynosić prawdziwy pożytek. Ale spokojne i bezstronne rozglądnięcie się nie budzi przekonania, żeby polityka, którą p. Namiestnik obrał w dwu dziedzinach bodaj najważniejszych obecnie, w sprawie ruskiej i w sprawie układu stronnictw, od których to spraw najbardziej przyszłość kraju zależy, była zbawienna.

W sprawie ruskiej dla osiągnięcia porozumienia nie tyle z ludnością ruską ile ze stronnictwem ukraińskiem, patrzy się przez palce na urągającą prawu i niesłychanie podburzającą agitacyę jego w kraju, na terror odpowiada się ustępstwami, popiera się to stronnictwo, składa mu się w ofierze t. zw. starorusinów nawet znacznie spokojniejszych i skłonniejszych

do zgody. Że stronnictwo ukraińskie w ten sposób wzrasta w siły, to widzą wszyscy. Ale żeby równocześnie stawało się bardziej umiarkowanem, tego bynajmniej nie widać, bo przeciwnie jest ono coraz zuchwalsze i napastliwsze, tak, że prostem dziecińśtwem byłoby łudzenie się, iż będzie lepiej. P. Namiestnik pracować pragnie dla dobra swego narodu, dla całego kraju, dla miru między obiema jego ludnościami. Tymczasem okazać się może, że pracuje tylko dla wzrostu stronnictwa ukraińskiego, bo to napewno zostanie, a w kraju spokoju nie będzie i dla nas walka ze wzmocnionym przeciwnikiem stanie się groźniejszą.

Zaś w sprawie układu stronnictw, trudno być dobrej myśli, gdy się widzi, że p. Namiestnik odsuwa lub zwalcza ludzi idei, ludzi przekonań, ludzi pracujących naprawdę dla narodu, a wiąże się z ludźmi, dla których polityka jest przedewszystkiem karyerą. Wpływy takich właśnie ludzi niepewnych, wzmagają się, przymyka się oczy na ich mniej lub więcej brudne i osobiste sprawki i dążności, a w ten sposób obniża się poziom moralny naszego życia publicznego, a zarazem maleje nasza powaga wobec państwa, rządu i parlamentu.

Taki bieg rzeczy nie wróży nam nic dobrego i troska o przyszłość zjawia się coraz uporczywiej, odzywa się coraz dobitniej.

Que sont ils donc ces „Ruthènes“?

Już od dwóch przeszło lat zajmują się Francuzi coraz żywiej sprawą polską i stosunkiem Polaków do Rosyi, a od niedawna i sprawą ruską w Galicyi.

W ciągu roku było już kilku Francuzów nie tylko w Rosyi, ale także w Królestwie i w Galicyi. O wszystko pytali, wszystkiemu się przypatrywali i robili notatki.

Czemu to przypisać?

Po części miliardom pożyczonym rządowi rosyjskiemu, a prócz tego lokowanym w rozmaitych przedsiębiorstwach, które dźwignęły się w obrębie cesarstwa rosyjskiego, dzięki kapitałom przeważnie francuskim. Zdziałała coś może ankieta Sienkiewicza i głosy prasy polskiej, a w ostatnich czasach niewątpliwie także usiłowania Rady Narodowej galicyjskiej i czynność gorliwa kilku z naszej bardzo zasłużonej młodzieży, pracującej naukowo w Paryżu, a stykającej się tam z dziennikarzami i literatami francuskimi. Ci radziby widzieć Rosyę jak najsilniejszą, jest to bowiem w interesie Francyi tak politycznym, jak też i finansowym.

Silną i finansowo pewną, jest oczywiście Rosya dobrze rządzona, spokojna wewnątrz i zgodna z licznymi, a bardzo rozmaitymi narodami i szczepami, wchodzącymi w skład jej cesarstwa. Sprawa polska wysuwa się tu na pierwszy plan, i to nie tylko kwestya jakiejś zgody z Polakami, ale wogóle wszelkie zamiary rządu rosyjskiego dotyczące krajów dawnej Polski. Nie dziw więc, że wielkie zaniepokojenie wywołało we Francyi, przeniesienie rosyjskiej linii obronnej z nad Wisły w głąb Litwy. Armia bowiem rosyjska zebrana w Królestwie mogła potężnie zaciężyć na tyłach armii pruskiej w razie wojny Prus z Francyą. Ta sama armia rosyjska — a nawet choćby liczniejsza — cofnięta w głąb Litwy nie tylko oddala się bardzo od granicy prusko-rosyjskiej, ale już samem tem cofnięciem się okazuje, że liczy tylko na defenzywę, a więc przestaje robić dywersyę armii pruskiej idącej na Francyę.

Te tak proste refleksye zaniepokoiły opinię francuską, i to nie tylko u dziennikarzy, którzy zazwyczaj łatwo się emocyonują, ale także i u sfer wojskowych, oceniających doskonale doniosłość cofnięcia linii obronnej wojsk rosyjskich na Litwę.

Równocześnie z tem cofnięciem i rozbrajaniem twierdz nad Wisłą, zaczęły się szerzyć pogłoski o zamiarze rządu rosyjskiego odstąpienia Królestwa Prusakom, chcą więc wiedzieć Francuzi, w jakim stopniu już Prusacy skolonizowali Królestwo, a więc o ile już rzeczywiście przygotowali zabór, jeżeli nie całego Królestwa, to przynajmniej po Wisłę, pamiętajmy bowiem, że tęsknią oni zawsze za temi granicami, które mieli po rozbiorach Polski, a które stracili na kongresie wiedeńskim w r. 1815.

Takim jednak pogłoskom zdawałyby się sprzeciwiać owe ukazy tolerancyjne, zapewniające, rzekomo, wolność sumienia wszystkim obywatelom państwa rosyjskiego i to bez różnicy wyznania i narodowości. Nasi goście francuscy uważali te ukazy jako oznakę chęci pogodzenia się z ludnością polską, a więc też i chęci zatrzymania jej w łączności z cesarstwem rosyjskiem, nie zaś oddawania Prusom, i rzucania na pastwę germanizacyi, a tem samem wzmacniania żywiołu wrogiego zarówno Rosyi, jak i Francyi.

Ażeby się o tem czegoś pewnego dowiedzieć, Francuzi nietylko jeździli do Rosyi i do Królestwa, ale też i tu będąc, pytali o tamtejsze stosunki.

Szczęśliwy zbieg okoliczności dozwolił mi dostarczyć jednemu z tych panów ciekawej ilustracyi, dotyczącej sposobu wykonywania ukazów tolerancyjnych, a tem samem ich wartości dla ludności katolickiej.

Zwiedziwszy Podhorce, byliśmy z jednym z tych panów Francuzów także i w Podkamieniu. Klasztor w Podkamieniu nie przedstawia dla obcokrajowca wiele ciekawości, po oględzinach więc dość pobieżnych mieliśmy odjeżdżać, kiedy spostrzegłem w dziedzińcu klasztornym troje ludzi, starszą kobietę i młodszą parę. Jak się zaraz dowiedziałem, wszystko troje z za kordonu, ze sfer rzemieślniczych małomieszczańskich. Poprosiłem Francuza, żebyśmy się do nich zbliżyli i wypytali o szczegóły mogące nas zaciekawić. Więc najpierw stara ciotka zaczęła opowiadać o prześladowaniach i szykanach ze strony prawosławnych popów: „Nie mówią oni „wprawdzie, żeby nas katolików rżnąć, ale powia„dają, i to z kazalnicy, że jesteśmy gorzej bydła i że „niebo otworzyłoby się nad ziemią, gdyby się nas „stąd pozbyć można“. Co do młodej pary zaś, pokazało się, że on był Polakiem, katolikiem, ona zaś wprawdzie także Polką, ale z musu prawosławną, bo pochodziła z małżeństwa mieszanego, mimo to jednak mówiła pacierz po polsku, a teraz wychodząc za mąż, chciała przejść na katolicyzm. Władze rosyjskie, tak

świeckie jak duchowne, wymagały od narzeczonego, żeby przeszedł na prawosławie, ponieważ zaś narzeczeni nie chcieli od swoich zamiarów odstąpić, robiono im tyle trudności — sprowadzających się w Rosyi do kubanów pod rozmaitemi formami — że nie mogący im podołać narzeczeni, ludzie ubodzy, przyszli po ślub do Dominikanów w Podkamieniu. Nagadawszy się z tą parą mieliśmy odjeżdżać, kiedy pojawiła się druga, zupełnie taka sama, on Polak katolik, ona Polka prawosławna — a więc nowy wywiad. Już byliśmy znowu na wsiadanem, kiedy się pojawiła trzecia para! Ta, o tyle odmienna, że on był wprawdzie także Polakiem i katolikiem a ona prawosławną, ale już nie Polką i nie mówiła pacierza po polsku, jak tamte obie, ale była Rusinką i mówiła pacierz w języku cerkiewnym, ale i ona także miała nieprzyzwyciężony wstręt do prawosławia i chciała przejść na katolicyzm. Ze strony więc rosyjskiej mieli takie same trudności jak tamci i tak samo udali się do Dominikanów w Podkamieniu po ślub.

Wobec takiego nadmiaru okazów ilustrujących wolność sumienia zagwarantowaną w Rosyi, powstała we mnie obawa, że Francuz gotów przypuszczać, żeśmy mu jakąś szopkę urządzili, więc zapytałem jednego z Dominikanów, czemu to przypisać mamy, że spotykamy taką ilość proszących o ślub zakordonowców? Temu, odpowiedział Dominikanin, że ich Moskale prześladują i że zawsze tu przychodzą, a ponieważ dziś jest sobota popołudniu i chcą mieć śluby na niedzielę rano, więc ich się zeszło trochę więcej, niż w inne dnie.

Nie potrzebuję dodawać, jak zdumiony był Francuz, nasłuchawszy się tyle o nowej wolności w Rosyi, a sam przyzwyczajony do zupełnie innych stosunków w swojej ojczyźnie.

Z Francuzów zwidzających Galicyę byli jedni lepiej drudzy gorzej przygotowani do badania kraju, który chcieli poznać. Byli i tacy, którzy z artykułów w *Neue Freie Presse* wiedzieli o tem, jak to w Galicyi Polacy, mając sami możność swobodnego rozwijania się, uciskają „Rutenów“. Tacy dziwili się bardzo, gdy zaczęto ich tu oprowadzać po szkołach z językiem wykładowym „ruteńskim“, kiedy przecież w *Neue Freie* czytali wyraźnie, że w Galicyi nie ma ani jednej szkoły „ruteńskiej“. Zdziwili się jeszcze więcej, gdy im wykazano, że tych szkół jest stosunkowo więcej, niż polskich, a że i w tych nawet język „ruteński“ jest obowiązkowym, że są także i szkoły średnie, gimnazya „ruteńskie“ nie liczne wprawdzie, ale to przedewszystkiem z przyczyny, że frekwencya w nich jest mniejsza niż w polskich, że dalej tak w sądzie jak w urzędzie, przemawiają i piszą „Ruteni“ we własnem narzeczu i że w tem samem narzeczu przemawia się i pisze do nich. Takich mniej obznajomionych Francuzów potrzeba było dopiero upewniać, że ani drobnej części tych warunków rozwoju nie mają Polacy w Rosyi, gdzie zresztą także i „Ruteni“ nie mają na całym obszarze ani jednej szkoły, że z sądu i urzędu język ich jest zupełnie wykluczony i że przy tem, najciekawszem i najbardziej pouczającem, jest zachowanie się obrończyni „Rutenów“ tej poczciwej *Neue Freie*, która wcale nie narzeka na ich ucisk w Rosyi!

Na takie uwagi i porównania zapytał jeden z naszych francuskich gości: *„Que sont ils donc ces Ruthènes?“* Czemże oni są ci „Ruteni? czy jakimś odrębnym narodem, czy też tylko częścią narodu rosyjskiego, która była pod panowaniem polskiem, a teraz należy do Austryi? Odrzekłem mu wpół żartem a na wpół seryo: Na to pytanie najtrudniej mi będzie odpowiedzieć Panu, bo oni sami o to właśnie najzażarciej się kłócą, jedni z nich uznają się wprost za Rosyan, drudzy zaś przeciwnie uważają Rosyan za swoich najcięższych wrogów i nazywają się Ukraińcami. No, ale jeżeli mamy zupełnie poważnie o tym przedmiocie mówić, to muszę przedewszystkiem stwierdzić fakt, że lud „ruteński“ czyli, jak my się wyrażamy ruski, mówi narzeczem odmiennem, tak od języka rosyjskiego, jak i od polskiego. Mojem zdaniem najlepszy obraz tych stosunków da Panu porównanie ich z innymi, a znanymi Panu bardzo dobrze stosunkami.

Zacznijmy od znanej Panu najlepiej Francyi.

Gdyby n. p. udało się było ś. p. Bismarkowi wywołać — jak to zamierzał — powtórną wojnę z Francyą i gdyby — po ewentualnem zwycięstwie — chciał ją osłabić, lub zupełnie rozbić, byłby może usiłował zużytkować w tym celu różnicę narzecza, którem lud mówi w Prowancyi i wogóle na południu Francyi, a różnica ta przecież jest tak znaczną, że Francuz z północy lub Paryżanin, zupełnie Prowansala nie rozumie. Byłby więc Bismark zakładał w Prowancyi odrębne szkoły, w którychby wykładano w narzeczu prowansalskiem. Przypominanoby, że przecież narzecze to miało w czasach kiedy śpiewali trubadurowie swoją literaturę, że śpiewało w tem narzeczu całe rycerstwo, a dziś odświeża je Mistral w swych pieśniach!

Bismark byłby wprowadził w urzędach i sądach dla stron wolność przemawiania i pisania po prowansalsku, a dla urzędników i sędziów obowiązek odpowiadania w temże narzeczu, a że Francuzi z północy nie władają niem, Prowansalowie zaś, którzy szkoły pokończyli, znają nie tylko język książkowy francuski ale także i narzecze prowansalskie, mnóstwo więc posad w urzędach, sądach i szkołach, stałoby otworem wyłącznie tylko dla Prowansalów. Być Prowansalem stałoby się doskonałym interesem, a o dostaniu niejednej posady nie stanowiłoby uzdolnienie, ale władanie narzeczem prowansalskiem i należenie do stronnictwa politycznego, domagającego się odrębności Prowancyi.

W parlamencie przemawianoby także po prowansalsku, domaganoby się, żeby wiceprezydent był Prowansalem, żeby odpowiednia ilość władz i urzędów autonomicznych była w rękach Prowansalów, żeby w odpowiednim stosunku dobierani byli z Prowansalów, zajęci przy parlamencie funkcyonaryusze, pisarze, stenografowie, służba i t. d. i to bez względu na to, czy znajdzie się lub nie Prowansal odpowiednio uzdolniony, nie mówionoby wtedy: urodził się w czepku, ale mówionoby: urodził się Prowansalem.

Byłby wprawdzie niejaki kłopot w szkołach z wykładami w narzeczu prowansalskiem, nikt bowiem o fizyce, matematyce, astronomii, filozofii dotąd po prowansalsku nie pisał, ale ponieważ „fundusz gadzinowy“ jest w Prusiech dobrze zao-

patrzony i wspierałby ideę odrębności prowansalskiej, więc i język naukowy prowansalski musiałby się znaleźć. Cała sztuka polegałaby na tem, żeby ten język, jako naukowy, nowo powstający, czerpiąc z bogatej literatury francuskiej, nie zbliżył się zbyt do języka francuskiego i nie zatarł przypadkiem swej cennej i tak lukratywnej odrębności. Uzupełniałoby się zatem narzecze prowansalskie słowami czerpanemi z łaciny i greki, z języka włoskiego, angielskiego, hiszpańskiego, tworzyłoby się słowa składane w duchu niemieczczyzny, z języka zaś francuskiego zużytkowałoby się co najwięcej, to chyba archaizmy, bo te, jako już dziś nieużywane, nie kompromitowałyby nowego „prowansalskiego języka naukowego“ podobieństwem do żyjącego języka francuskiego, bogatego i gotowego do użycia. Pożądane więc byłyby wyrazy choćby chińskie i japońskie, bo przecież i te zwiększałyby i wykazywałyby „różnicę“, ba nawet „odrębność“ i bogactwo „literackiego języka“ prowansalskiego.

Podobne zjawisko byłoby mogło powstać, gdyby był Napoleon I nie upadł i chciałby był dalej prowadzić rozpoczęte dzieło rozbicia Niemiec. W narzeczu północno-niemieckiem, tak zwanem „*Platt-deutsch*“ miałby był gotową odrębność językową, wiadomo bowiem, że dopiero Luter swoim wpływem, a mianowicie tłómaczeniem biblii na narzecze „*Hoch-deutsch*“ rozpowszechnił je w świecie literackim. Mimo to jednak lud w północnych Niemczech używa dotąd swego narzecza, zupełnie prawie niezrozumiałego dla południowców, tak, że w czasie n. p. „*Schützenfestów*“ Fryz z Tyrolczykiem wcale nie mogą się rozmówić, narzecze bowiem „*Platt-deutsch*“ zbliża się często więcej do języka angielskiego, holenderskiego i starosaskiego, niż do języka literackiego obecnie w Niemczech używanego i do południowo-niemieckich narzeczy. Ułatwieniem bardzo wielkiem byłaby była dla Napoleona I także różnica wyznania, w północnych bowiem Niemczech przeważa luteranizm, w południowych zaś katolicyzm.

Podobne różnice napotykamy też w innych państwach i u innych narodów. I tak n. p. jak mało skonsolidowane są jeszcze Włochy! Nie tylko że Włoch południowy mało rozumie północnego, a Sycylijczyk z Piemontczykiem już prawie całkiem nie mogą się porozumieć, ale i antagonizmy prowincyonalne dotąd tam nie wygasły. Kiedy osławionego ministra oświaty Nasi'ego usunięto za proste kradzieże, urządzał lud w Sycylii demonstracye i zbiegowiska po ulicach miast pod hasłem: ujmować się za Nasi'm, bo to Sycylijczyk, którego „Włosi“ prześladują!

Nie mniej żywym jest w Hiszpanii antagonizm, a nawet wprost separatyzm kataloński, oparty już nie tylko na różnicy narzecza, ale także na różnicach psychicznych, ekonomicznych i cywilizacyjnych. Językiem literackim stało się w Hiszpanii narzecze kastylijskie, zaś Katalończycy przemawiają narzeczem zbliżonem do prowansalskiego. Kastylijczycy słyną z dumy i lenistwa, Katalończycy z pracowitości, oszczędności, rzutkości w przemyśle i handlu, to też Kastylia jest uboga i pusta, Katalonia bogata, kwitnąca przemysłem i rolnictwem. W czasie rozruchów w Barcelonie nie omieszkali przewódcy socyalistyczni wyzyskiwać ten separatyzm kataloński.

Ale tak Hiszpania, jak i Francya, Niemcy i Włochy mają własne rządy, wszelkie zatem dążenia separatystyczne nie przedstawiają żadnych korzyści, cichną więc, albo też przybierają cechę pewnego pietyzmu, z którym się przechowuje różnice, odrębne właściwości i tradycye szczepowe, jako historyczne zabytki dawno minionej przeszłości. Taką cechę ma n. p. rozwijający się w Anglii i Francyi kult Pan-celtyzmu, którego zwolennicy jednak mówią wprost: jesteśmy przedewszystkiem Anglikami w Anglii, Francuzami we Francyi, a potem Celtami. Tak jest dziś, ale jeszcze w czasie Wielkiej Rewolucyi wyzyskiwano z najlepszym skutkiem separatyzm bretoński, a niedawno temu, bo w czasie Komuny, łatwiej było rzucić na Paryż marynarzy bretońskich, niż inne wojska — ówczesne pamiętniki podnoszą ten znamienny szczegół. Dziś te różnice zacierają się coraz bardziej.

U nas w Polsce dzieje się inaczej, bo przeszło od stu lat pracują mocarstwa rozbiorowe nad wytworzeniem rozkładu w naszym organiżmie i to tak pod względem politycznym, jak i społecznym jak i religijnym. Jak daleko pod tym względem może iść zła wiara i przewrotność, najlepszym przykładem jest znany fakt, że rząd rosyjski, który w głębi Rosyi uciska rozmaite sekty, popiera w Królestwie maryawitów, wydaje dla zbałamucenia opinii europejskiej ukazy tolerancyjne, jak zaś wykonuje te ukazy, widzieliśmy w Podkamieniu.

To działanie mocarstw rozbiorowych jest jedynie właściwym kluczem do zrozumienia kwestyi ruskiej — o tem powinien pamiętać każdy cudzoziemiec, chcący poznać nasze stosunki wogóle, a w szczególności kwestyę ruską.

Po tym, jakkolwiek bardzo pobieżnym przeglądzie stosunków analogicznych mogę przystąpić do dania Panu odpowiedzi na zapytanie: *Que sont ils donc ces Ruthènes* już wprost a nie przez porównania.

Sądzę, że w pytaniu tem chodzi nie tylko o to czem Rusini są, t. j. czy są narodem odrębnym, czy też tylko szczepem do odrębności dążącym, ale także i o to, z jakich pobudek jedni z nich t. j. ukraińcy tę odrębność wykazują i przy niej obstają, zaś drudzy t. j. moskalofile swoją przynależność do Rosyi udowodnić usiłują i przeciw odrębności występują?

Zacznijmy od najpobieżniejszego przeglądu, historycznego rozwoju Rusi i jej stosunku do Polski.

W ciągu wieku dziesiątego, waregski szczep Rusów, podbił Słowian naddnieprzańskich i narzucił im nazwę i organizacyę państwową, sam jednak będąc w znikającej mniejszości wobec podbitych Słowian, zatracił swój pierwotny język i zwolna rozpłynął się w masie słowiańskiej.

Z końcem dziesiątego wieku przyjęło, skonsolidowane już państwo Włodzimierza Świętego, religię chrześcijańską w obrządku greckim. W tym to okresie aż do najścia Tatarów posiadali Rusowie czyli Rusini — bo już się ta nazwa ustaliła — wszystkie cechy odrębności narodowej. Było państwo, często wprawdzie rozdarte wewnętrznemi walkami i na drobniejsze księstwa roz-

padające się, był obrządek grecki, odróżniący słowiańszczyznę południową i wschodnią od zachodniej, było wreszcie odmienne narzecze. W czasach tych jednak nie istniało wcale pojęcie o narodowości w znaczeniu dzisiejszem. Nawała tatarska zniszczyła w trzynastym wieku niepodległość polityczną Rusi, ale nie tknęła religii, a tem mniej zajmowała się narodowością podbitych ludów.

W czternastym wieku wypierają Tatarów Litwini ze wschodniej i południowej Rusi, Polacy z Rusi Czerwonej. I wtedy jeszcze nie istniały kwestye narodowościowe. Panujący książęta litewscy sami nawet mówią na dworach swoich po białorusku. Unia Litwy z Polską łączy bez podboju obydwa państwa i Ruś, w jedną polityczną całość. Wyprawy Bolesławów do Kijowa i wojny książąt halickich z Polską były o dwa wieki wcześniejsze i nie kończyły się podbojami. Przy objęciu Rusi Czerwonej za Jadwigi wojska polskie walczyły tylko z Węgrami, którzy przez czas jakiś dzierżyli Halicz, królowę Jadwigę witała ludność jako zbawczynię.

Od tego czasu zaczynają się „zdobycze pługa polskiego“ jak je trafnie nazwał nasz historyk Szajnocha. Niezaludnione, lub po częstych napadach tatarskich, wyludnione ziemie, zajmują polscy koloniści, napływający z głębi Polski. Szlachta buduje zamki, zakłada miasta i broni ziemi, którą sprowadzony włościanin uprawia. Kwestya narodowościowa, a nawet religijna nie istnieje, nikt o niej nie myśli, do tego stopnia, że szlachta obrządku łacińskiego stawia cerkwie dla obrządku greckiego, często nawet schizmatyckie. Lud sprowadzony z Polski uczęszcza do tych cerkwi i zapomina swego pierwotnego języka i obrządku. Rozsiane dziś po Rusi Czerwonej, Wołyniu i Podolu osady polskie, są tylko małą resztą tych kolonii, któreśmy na Ruś wysłali, nie myśląc wcale o polszczeniu jej. Napływ ten jednak żywiołu polskiego nie pozostał bez skutku. Kraj się ucywilizował, zaludnił i zabudował. Jeżeli były jakie spory to nigdy narodowościowe ale tylko religijne, o prawa innowierców czyli jak ich wtedy nazywano „dyssydentów“, rokowania o unię schizmatyków z Rzymem i t. p. Spory nie tyczyły się Rusinów jako takich, ale obejmowały zarówno protestantów na północy Rzeczypospolitej, jak i schizmatyków na południu. O prawa cerkwi upominała się głównie szlachta schizmatycka, ta sama która potem walczyła w szeregach polskich przeciw Kozakom.

Stan Rusi południowej w ciągu wieku 16-go do połowy 17-go był niezwykle kwitnący. Posiadłości polskie sięgały daleko po za Dniepr. Wykształcone klasy ruskie uznawały swą przynależność do narodu polskiego, mówiły o Rzeczypospolitej jako o swojej ojczyźnie, król polski był ich królem, znane i uznane było wyrażenie się: „gente Ruthenus natione Polonus“.

Jedną z ważnych przyczyn, a w każdym razie początkiem i decydującym czynnikiem w długim szeregu nieszczęść Rusi, a pośrednio i całej Polski, stała się w 17-tym wieku Kozaczyzna. Rozwinęły ją w ciągu wieku 15-go i 16-go stosunki kresowe. Ludność niepokojona częstymi napadami tatarskimi uciekała gdzie mogła, odważniejsi chronili się na wyspy dnieprowe i żyli tam z rybołówstwa i wojny, odwzajemniając się napadami nietylko Tatarom ale i Turkom, do których docierali morzem Czarnem, na galerach zwanych czajkami. Na tych wyspach nie mogli ich dosięgnąć Tatarzy, zaś wodospady Dnieprowe uniemożliwiały podpłynięcie flotom tureckim. Oprócz ludności z obu brzegów Dniepru, składało się na zaludnienie obozów kozackich, zbiegowisko awanturników także i z dalszych stron. Było tam dużo Polaków, nawet szlachty, byli także Moskale i Wołosi, przeważał jednak żywioł miejscowy t. j. ruski. W obozach, wśród ciągłych walk i wypraw, nie było miejsca dla kobiet, pobyt w siczach był im też wprost wzbroniony. Wojenne to społeczeństwo samo nazywało się „wojskiem“ Zaporoskiem i odnawiało się tylko dopływem ludności męskiej.

Było to coś pośredniego między jakimś zakonem rycerskim — zjawiskiem znanem na Zachodzie — a ogromną bandą rozbójników. Jeżeli miałbym użyć porównania z czemś co Panu jako Francuzowi musi być znanem, porównałbym Kozaków do *Flibustier'ów* i *Boucanier'ów*, tylko że ci przebywali na Antyllach, Kozacy zaś na terytoryum Rzeczypospolitej i uznawali jej zwierzchnictwo. I stąd to właśnie wynikały największe trudności i zawikłania. Nie tylko Tatarzy ale, co groźniejsza, także i Turcy, żądali od Rzeczypospolitej poskromienia tych napadów — grozili wojną. Rzeczpospolita zabraniała, nareszcie postawiła nad brzegiem Dniepru twierdzę, Kudak, której działa nie puszczały czajek na Czarne morze. Stąd narzekania Kozaków na krępowanie ich „wolności“ i bunty, poskramiane jak długo Rzeczpospolita była dość silną. Rozluźnienie a więc i osłabienie jej stosunków dosięgało szczytu już w pierwszej połowie 17-go wieku i wtedy to właśnie, osławiony i wprost zbrodniczy, Bohdan Chmielnicki, poszukując swej prywatnej krzywdy, rzucił na osłabioną Rzeczpospolitą Kozaków. Uczynił to w imię ich wolności t. j. swobodnego urządzania rabunkowych wypraw, zaś południowo-ruskich chłopów, podniecił obietnicami rabunku dworów i miast, t. j. szlachty i żydów, obietnicami uwolnienia od danin, a wreszcie najbezczelniej szerzonemi pogłoskami, że szlachta chce ich mordować i przemocą na unię z Rzymem nawracać. O sprawie narodowej, a tem ci mniej językowej, nawet mowy nie było!

Po wielu zwycięstwach nad wojskami Rzeczypospolitej i po spustoszeniu kraju po Lwów i Zamość, Chmielnicki pobity i zwyciężony szukał ratunku w oddaniu Kozaków i południowej Rusi pod panowanie rosyjskie, a później nareszcie pod tureckie.

Nie chcę tu pominąć faktu historycznie udowodnionego, a cechującego dosadnie tego rzekomego obrońcę ludu ruskiego, że płacił Tatarom za udzielaną mu pomoc przeciw Rzeczypospolitej, pozwoleniem brania jeńców, czyli tak zwanego jassyru. A brali Tatarzy tych jeńców, głównie kobiety, z tej to właśnie Rusi południowej, z której chłopi zapełnili jego szeregi. W Kijowie stoi pomnik Chmielnickiego, postawili go Moskale.

Bunt Chmielnickiego był naszą największą wojną chłopską — bez porównania mniejszą już i ostatnią, była tak zwana Rzeź Humańska pod wodzą Gonty i Żeleźniaka wywołana, w drugiej połowie 18-go wieku, staraniem Rosyi a za pośrednictwem popów prawosławnych. Rzecz znowu godna zapamiętania, że rząd rosyjski chcąc pokryć swoje wspólnictwo, polecił swoim wojskom tępić zbuntowanych chłopów, wspólnie z wojskiem Rzeczypospolitej wysłanem dla uspokojenia kraju.

Mieliśmy więc wojny chłopskie tak jak Francya miała swoje „*Jaquerie*“ a Niemcy swoje „*Bauernkriege*“ ale były to walki o cechach wyłącznie społecznych, a jeżeli nawet przewódcy i agitatorowie potrzebowali jakiejś dodatkowej podniety, jakiegoś dodatkowego środka agitacyjnego, to i wtedy nawet nie wysuwano kwestyi narodowościowej, ale kwestyę religijną i zmyślone *ad hoc* pogłoski o zamierzonych mordach i prześladowaniach. Mogę więc Pana śmiało upewnić, że tak jak Polacy nigdy Rusi nie zdobyli, tak też i później po unii z Litwą i wypędzeniu Węgrów z Czerwonej Rusi, nigdy przeciw Rusinom jako takim nie walczyli. Nawet unię z Rzymem przeprowadzono, w ciągu wieku 17-go i 18-go, w drodze dobrowolnych układów, a lud ruski tak się do tej unii, dobrowolnie przyjętej, przywiązał, że dopiero przymuszony żelazną ręką Mikołaja I przyjął prawosławie w zabranych prowincyach, na Podlasiu zaś i w Chełmszczyźnie jeszcze później, bo dopiero za Aleksandra II nawracano go bijąc nahajkami, wywożąc na Sybir i mordując.

Wynikiem tak długiego współżycia Polaków i Rusinów, było rzeczywiste zżycie się i przeniknięcie obu szczepów. Osady polskie rozsiane są po całej Rusi, tysiące rodzin łączy się od wieków w mieszanych małżeństwach, tysiące nazwisk rodowych wspólne są Polakom i Rusinom, pod względem języka towarzyskiego wiele rodzin polskich zruszczyło się, wiele rodzin ruskich spolszczyło się, u ludu nazywa się Polakiem ten który należy do obrządku łacińskiego, Rusinem ten, który należy do obrządku greckiego, dopiero dzisiejsi tak moskalofilscy jak i ukraińscy agitatorowie usiłują wmówić w ten lud, nie tylko inne w tej mierze pojęcia, ale także i to przedewszystkiem, wrogie dla Polaków usposobienie, i wnoszą rozdwojenie w tak liczne mieszane rodziny.

Takiego wzajemnego przeniknięcia się jak między szczepem polskim i szczepem ruskim nie było nigdy między Moskalami i Rusinami, a to z tej prostej przyczyny, że nie było tylowiekowego połączenia politycznego, ekonomicznego i towarzyskiego, a co najważniejsza nigdy Rosya nie kolonizowała Rusi, tak jak to czyniła Polska, w sposób powyżej opisany.

Wspomniana Rzeź Humańska przeprowadza nas już do epoki rozbiorowej.

Pokazuje się jawnie w czasie rozbiorów, że Rusini nie są jakimś odrębnym czynnikiem narodowym, mocarstwa rozbiorowe nawet nie wspominają o nich! Głucho o nich w czasie wojen napoleońskich, na kongresie wiedeńskim w r. 1815-tym i jeszcze nawet w czasie powstania w r. 1831-szym. Po tem zaś powstaniu w latach trzydziestych, duchowieństwo ruskie mówi i pisze w rodzinach swoich po polsku' a klerycy obrządku greckiego w seminaryum lwowskiem, spiskują na rzecz sprawy polskiej. Rewizye austryackie odbywające się w tem seminaryum wyciągają z sienników, zakazane podówczas, dzieła Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. O tych, znanych zresztą faktach, wspomina w broszurze swojej Studziński profesor literatury ruskiej przy uniwersytecie lwowskim.

(D. n.). *Aleksander Raciborski.*

Plugastwo w teatrze.

W sobotę d. 3. b. m. grano w teatrze krakowskim po raz pierwszy, a teraz gra się w dalszym ciągu i zapewne grać się będzie wkrótce na scenie lwowskiej, komedyę p. Stefana Krzywoszewskiego, dziennikarza i autora kilku sztuk dramatycznych, p. t. *Rusałka*, wystawioną na tydzień przedtem w warszawskim teatrze Rozmaitości. Z najogólniejszego stanowiska, mianowicie z ciekawości jaki też smak, poziom i nastrój panuje na naszych scenach narodowych, utrzymywanych przez stolice i przez kraj, warto i w tem piśmie zwrócić uwagę na ostatnią nowość naszego teatru.

Dzieje się to na wsi w domu wysokiego rodu i właśnie zobaczyć można jak się w domach takich żyje. Ks. Oleski, który ma pełną gębę tradycyi hetmańskiej i kontusz przywdziewa na dożynki, gniecie jednak i zbywa podstępami chłopów i dzierżawców, krzywdzi starego nauczyciela, przez palce patrzy na rozpustę w rodzinie, zarabia na giełdzie ze stratą małych akcyonaryuszów i biednych urzędników bankowych, byle nie on sam urządzał te spekulacye ale przyjaciel jego, bankier żydowski br. Silberstein, a ze szczerem przejęciem i prawdziwem znawstwem odnosi się głównie do kuchni. Córka jego zamężna, hr. Jadwiga, zdradza męża z młodym zarządcą dóbr książęcych, z którym na spółkę fałszuje także weksle, a mąż jej, hr. Zahajecki, z początku bardzo oburzony i stanowczy, gdy kochanków przyłapano na gorącym uczynku, uspokaja się, jak ręką odjął, gdy teść wspomniał o konieczności wydzielenia z majątku posagu żony na wypadek rozejścia się. Narzeczony drugiej córki księcia, hr. Zaklicki, ma tymczasem i będzie miał i później za kochankę hr. Nelly, której mąż tego nie widzi, bo wogóle nie jest w stanie myśleć o czem innem jak o swej kamizelce i butach. Czy siwowłosa księżna i dziesięcioletni Maciuś także mają jakieś pokątne stosunki miłosne, nie jest jasne, dzięki niesłychanemu umiarkowaniu autora, ale w takim domu wszystkiego można się spodziewać. Umysłowy poziom tego towarzystwa jest taki, że gdy jeden hrabia mówi, że poety z wykrzywionymi butami nie może uważać za istotę równą sobie, drugi mu odpowiada z przejęciem, że i tamten ma duszę nieśmiertelną; gdy rozmowa zeszła na sztukę i artystów, jedna z hrabin oświadcza, że z artystów najbardziej lubi tych, którzy występują w cyrku; gdy hr. Zahajecki ma wyjaśnić czem się w życiu zajmuje, z dumą i serdecznem zadowoleniem stwierdza, że najlepiej wśród znajomych umie pakować kufry

i walizy i z tego powodu nawet lubi podróżować.

Tak wygląda ten polski dom książęcy. Cała, bardzo życzliwa dla autora, krytyka zawołała jednak głośno lub przynajmniej półgębkiem wtrąciła: przesada! Ale jest to oczywiście tylko nieporozumienie, niezdolność wniknięcia w stanowisko i twórczość autora. Bo i cóż to znaczy, że w życiu trudnoby było wskazać polski dom wielkopański, w którym tyle zła razemby się znalazło, któryby był taką jaskinią występku i fałszu? Ostatecznie nikt przecież nie zaprzeczy, że wśród tych wielkich rodów są głupcy, rozpustnicy, zdziercy, obłudnicy obojga płci. Autor zebrał razem właśnie samych takich ludzi i dał obraz, wedle którego w polskim domu wielkopańskim niema za grosz rozumu ni uczciwości. Z prawdą życiową się to podobno nie zgadza. Ale za to rzecz jest o tyle jaskrawsza, o tyle silniejsza! A przecież trudno wymagać od sztuki, aby wiązała się prawdą życiową i aby dla takiej drobnostki, jak jakaś tam zgoda z rzeczywistością i ze zdrowym rozsądkiem, poświęcała jaskrawość i wyrazistość, ktore znacznie silniej i łatwiej działają na widownię. A zresztą, patrząc na jedną i tę samą rzecz, np. na życie tych wielkich rodów, jeden widzi to a drugi co innego. Ot i w tej sztuce jest lokaj, który, kręcąc się całe życie po buduarach, sypialniach, kredensach, właśnie z tej strony patrzy na swych chlebodawców i wierząc święcie w to co mówi, zapewnia: „Panie, ja znam naszą arystokracyę tak jak nikt w całej Polsce“. P. Krzywoszewski przedstawił t. zw. arystoracyę polską właśnie mniej więcej z punktu widzenia tego lokaja.

Trzeba zresztą i z tem się liczyć, że żyjemy dzisiaj w czasach dosyć ciężkich dla pisarza satyrycznego. O kimże bowiem ma on dzisiaj pisać? Wprowadzi ujemne typy żydowskie, a nie tylko publiczność żydowska zbojkotuje sztukę, ale w dodatku syoniści urządzą przeciw niej demonstracyę w teatrze: żaden interes dla dyrekcyi. Wprowadzi jakieś podejrzane osobistości grające na łatwowierności tłumów i z niej żyjące, a odrazu przyjdą na przedstawienie socyaliści, zaburzą je i uniemożliwią: znowu kłopot. Tymczasem, że t. zw. arystokraci w teatrze demonstracyi nie urządzą, to się wie z góry zupełnie napewno, a publiczność na taką sztukę chętnie będzie chodzić, bo publiczność lubi, żeby na scenie byli książęta, hrabiowie i lokaje. W dodatku choćby sztuka była bardzo licha, prasa nie będzie mogła tego powiedzieć, bo pp. krytycy będą się bali posądzenia, że bronią wielkich panów.

Ale, w gruncie rzeczy, o tendencyę satyryczną tej sztuki najmniejsza. Wady i występki, które autor chłoszcze, istnieją także wśród tych wielkich rodów, a że przedstawione są z dziecinną przesadą, to ostatecznie w satyrze i komedyi rzecz zwykła i chociaż nie może być poczytaną za zasługę, jednak usprawiedliwioną i zrozumianą może być bardzo łatwo.

Jednakowoż satyra jest w tej sztuce, i w jej ogólnym nastroju siłą i barwą drugorzędną. Główną dźwignią sztuki, jej rdzeniem i całym jej smakiem, jest coś, dlaczego dom wielkopański jest tylko tłem tem ponętniejszem, mianowicie: pornografia.

Pornografia, grube dowcipy, lubieżne ruchy, jednem słowem płaskie plugastwo od początku do końca jest najistotniejszą sprężyną *Rusałki*.

Już sama postać owej rusałki, która ma niby być wartością duchową, jakoby sumieniem mówiącem prawdę w oczy owym obłudnym grzesznikom, wyzyskana została przez autora przedewszystkiem jako wartość zmysłowa i to grubo zmysłowa. Jest to poprostu doskonała sposobność pokazania na scenie nagiego ciała kobiecego z rzadka okrytego dosyć ruchomymi liśćmi. A potem to nagie ciało jest niewyczerpaną podnietą do dowcipów i żartów najzupełniej stajennych. Gdybyż to tyle tylko było, że gdy rusałka się wymyka, wyciągają się zewsząd ręce, łapią i szczypią, wśród śmiechów prostackich, a gdy mają ją okryć płaszczem, dziesięć razy zrzucanym lub spadającym i nanowo narzucanym, znowu co lepsze chwyty gorliwych pomocników. Ale bywa i tak, że rusałka-sumienie nadstawia nagie piersi pobożnemu hrabiemu sodalisowi, mówiąc: „Dotknij, spróbuj, to nie piecze“, a gdy on dotknął, pyta: „A co, czy nie jędrne?“ Albo gdy sodalis wpił się palcami w łydkę jej, rusałka-sumienie powiada mu: „O, wyłamiesz sobie palce, hrabio, twarda jest jak kamień“. Za chwilę sodalis ciekaw jest czy rusałka „umie całować tak, żeby aż bolało“ i oczywiście nagie sumienie dostaje się w lot w jego objęcia i widownia uraczona jest tym bolącym pocałunkiem. Panie hrabiny, chociaż ubrane, służą do wywoływania wrażeń równie podniosłych. Drobnostką byłoby to, że jedna z hrabin tańczy w salonie ze swym zarządcą naprzód cake-walk'a a potem taniec apaszów, że obie hrabiny ze swymi kochankami ściskają się na scenie także tak aż boli. Gorzej jest, gdy pierwsza hrabina znika z zarządcą za drzwiami pamiątkowego pokoju błogosławionej Kunegundy, skąd później, wskutek nieostrożnego stuknięcia, wyciągają ją w negliżu a jego w zakłopotaniu. Druga para znowu wchodzi, do altany i po pewnym czasie on wychodzi, poprawiając ubranie, a ona, poprawiając włosy. Na widok nagiej rusałki, jedna z pań krzyczy na całe gardło, że własnego męża nigdy nie widziała w negliżu, na co druga zaczyna ją coś pytać jak było z dziećmi. I takie oto wytworności dowcipu płyną w tej sztuce nieprzerwaną strugą.

Temi plugastwami i tylko niemi stoi sztuka. Gdyby je odjąć, te nagości, te szczypania i dotykania, te uściski, te cudzołóstwa za drzwiami, te niewybredne rozmowy, nie zostanie nic. Poza tem bowiem najważniejszem zdarzeniem jest to, że mały książę Maciuś ściągnął gruszkę, skłamał i ma dostać w skórę. Komedya, która ma coś do powiedzenia, może o takich rzeczach wspomnieć w paru zdaniach, ale żeby to wlec przez trzy akty, to są rzeczywiście kpiny z teatru.

Najbardziej niesmaczne jest bodaj to, że ta naga rusałka, służąca do najpospolitszych brudów, podana jest na początku i na końcu sztuki w obłokach poezyi, wśród czułostkowych i niby podniosłych wylewów, dźwięczących jakby temi samemi melodyami, przy których swe krasawice lub chochoły wprowadzał

Wyspiański. Grubym szwem wyłazi tutaj cała płaskość roboty.

Br. Silberstein opowiada ks. Oleskiemu gdzieś w ciągu sztuki jak się przyrządza pewną potrawę: „Bierze się kuropatwy, ale nie nasze, tylko sprowadzane. Obkłada się je poprostu kapustą, ale nie naszą, tylko gdzieś z ciepłych krajów. Na to przychodzi ananas. Potem oblewa się wszystko winem szampańskiem. Smaży się, odrzuca się później wszystko i zostaje tylko kuropatwy, zapach i smak".

Taksamo właśnie sporządza się takie sztuki jak ostatnia komedya p. Krzywoszewskiego. Bierze się arystokracyę, ale nie naszą, tylko gdzieś z pod ciemnej gwiazdy. Obkłada się ją grubemi przywarami, ale nie naszemi, tylko gdzieś z romansów kolejowych. Dodaje się trochę poezyi. Potem oblewa się wszystko pornografią. Miesza się, zaciera się robotę i składaninę, i zostaje tylko arystokracya, przesiąknięta na wylot nierządem, zalatuje ananasikiem zapach poezyi, a w smaku wszechwładnie góruje pornografia.

Niechaj sobie p. Krzywoszewski pisze co mu się podoba i jak mu się podoba, co umie i jak umie. Ale przecież my mamy obronę przed zarzucaniem naszej sceny partactwem i niechlujstwem: mamy krytykę teatralną, mamy dyrekcyę artystyczną teatrów.

Krytyka teatralna? P. Krzywoszewski jest dziennikarzem i to możnym dziennikarzem, wydawcą *Świata*, p. kolegę Krzywoszewskiego zna lub jutro pozna każdy krytyk teatralny, każdy redaktor naczelny. Jak można napisać, że sztuka p. Krzywoszewskiego jest obrzydliwą i niesmaczną lichotą? Jedna jedyna *Gazeta Warszawska* p. Dmowskiego zamieściła sprawozdanie zwykłego swego krytyka teatralnego p. L. K., który bez ogródek powiedział p. Krzywoszewskiemu, że „spekuluje na teatrze i gustach tłumu" i radził mu, „by przerobił swą sztukę na żargon i wystawił na Muranowie p. t. *A połnisze Arystokracye*, wodewil ze śpiewami i tańcami". Natychmiast oczywiście warszawski *Kuryer Poranny* byłego p. Ehrenberga z Krakowa, krzyknął: gewałt, bronią arystokracyi! Zresztą żadne pismo nie miało odwagi powiedzieć prawdy o tej prostackiej łataninie. Krytycy *Kuryera Warszawskiego*, taksamo jak *Słowa*, a w Krakowie *Nowej Reformy* jak i *Czasu*, najpocieszniej w świecie męczą się, aby z zastrzeżeń co do przesady, wydobyć jednak komplementy, jak np. *Czas*, który twierdzi, że i tutaj „widnieje ten sam nerw sceniczny, jakim odznaczały się poprzednie utwory p. Krzywoszewskiego" i toruje tryumfalną drogę tej nędzy: „Wszystko razem budzi zajęcie, nie wyczerpujące się w ciągu wieczoru, co rokuje *Rusałce* powodzenie, które już wczoraj stwierdziły oklaski rozbawionej widowni". Najzabawniejsze jak radzą sobie p. krytycy i pisma ze swymi stosunkami w wielkim świecie. *Kuryer Warszawski* powiada, że dzieje się to u „możnego pana, co siedzi sobie gdzieś na wsi w Galicyi". A na to *Czas* zaczyna od słów: „Gdzieś w głuchych ostępach mazowieckiej puszczy". Jednem słowem jeden i drugi ma wymówkę: „To nie u nas, panie hrabio, to tam, za kordonem, wiadomo, że u nas to co innego". Możeby p. Krzywoszewski napisał *Rusałkę* o redaktorach i krytykach?

A teraz sedno sprawy. Czy takie plugastwa powinny rozbrzmiewać ze sceny narodowej, z jednego z dwu teatrów stołecznych utrzymywanych także przez kraj i Sejm? Wiadomo zaś, że taki nastrój zjawia się na scenach naszych stale. Komisyom artystycznym świeci się w oczy Słowackim, Wyspiańskim, a tymczasem to są rzadkie kwiatki na gnoju. Powoływać się na sztuki np. francuskie mogą chyba ci, którzy Francyi nigdy nie widzieli. Tam podobne rzeczy także istnieją, ale w teatrach trzeciorzędnych. Zresztą takich grubych, prostackich i głupich dowcipów jak w *Rusałce*, w sztukach francuskich wogóle niema. A wystawa nagiego ciała i bawienie się niem istnieje tylko w Moulin Rouge, albo w Folies-Bergère ale nie w teatrach. Owszem, w teatrze można i trzeba się bawić. Ale nie głupimi i masnymi dowcipami, jakimi bawią się gołowąsi poza szkołą, i nie ruchami i gestami ze stajni, z szynku, a właściwie jeszcze skądinąd.

St. St.

Wiadomości polityczne.

Koniec ordynacyi rydzyńskiej.

W sprawie ordynacyi rydzyńskiej zapadł w Sądzie Rzeszy w Lipsku ostateczny wyrok, oddający skarbowi pruskiemu ten ogromny szmat ziemi polskiej, wynoszący z górą 15.000 morgów, a teraz skazany na zupełne zniemczenie. O wyroku doniósł *Dziennik Poznański* z d. 4. grudnia b. r. w artykule p. t. „Zaprzepaszczenie Rydzyny":

„Sąd Rzeszy w Lipsku odrzucił po sześciogodzinnych rozprawach i dalszych pięciogodzinnych naradach rewizye hr. Potockich, żądających przyznania im praw agnatów do ordynacyi rydzyńskiej. Sąd Rzeszy oparł wyrok na orzeczeniu sądu nadziemiańskiego w Poznaniu, który oświadczył był, że „wedle jego przekonania", testator ks. August Sułkowski w r. 1783 miał tylko na myśli pierwszą i drugą generacyę hrabiów Potockich, jako uprawnionych do przystąpienia do ordynacyi, gdy tymczasem w rzeczywistości przystąpienie to nastąpiło dopiero w trzeciej generacyi. Sąd nadziemiański uznał, że brzmienie aktu ordynacyi przemawia za hr. Potockimi, wykombinował jednak rzekomą wolę testatora z całego związku testamentu („aus dem ganzen Zusammenhange"). Głównie ułatwiła rządowi sprawę opinia prof. prawa rzymskiego Kippa z Berlina, który zręczną dyalektyką podsunął rządowi możliwość takiego tłómaczenia aktu ordynacyi. Opinia ta wydana została nie z ramienia rządu, ale na zamówienie adwokata Löwenfelda w Berlinie, który zastępował hr. Antoniego Wodzickiego, członka austryackiej Izby panów, i jego pomocnika, dr. Natana Löwensteina, posła do austryackiej Rady państwa".

Jak wiadomo, obecny proces toczył się między skarbem pruskim a dalszymi krewnymi ostatniego ordynata, ks. Antoniego Sułkowskiego, mianowicie śp. Tomaszem i Władysławem Potockimi oraz p. Augustem Potockim.

Ci proces przegrali, chociaż podstawy prawne mieli, bo sądy pruskie rozminęły się raz jeszcze z prawem.

Z najbliższymi zaś agnatami ostatniego ordynata, mianowicie z hr. Antonim Wodzickim z Galicyi i z hr. Henrykiem Potockim z Królestwa ubił rząd pruski sprawę już wcześniej polubownie.

Mianowicie, jeszcze za życia ostatniego ordynata, w dokumencie z d. 25. lipca 1907 r., Prowincyonalne Kolegium Szkolne poznańskie stwierdza, że hr. Antoni Wodzicki wystąpił wobec władz rządowych pruskich z propozycyą ugody, na podstawie układu familijnego, który wzamian za pewne odszkodowanie pieniężne odda fiskusowi pruskiemu ordynacyę na nieograniczoną własność bez obawy kroków prawnych ze strony najbliższych krewnych ostatniego ordynata. Istotnie, na podstawie tego wystąpienia p. Antoniego Wodzickiego, rozpoczęły się układy z rządem, które doprowadziły we wrześniu r. 1908 do umowy między fiskusem a ks. Antonim Sułkowskim, żoną jego, i hr. A. Wodzickim i H. Potockim. W umowie tej, podpisanej przez p. Wodzickiego osobiście a przez p. Potockiego za pośrednictwem pełnomocnika, znajduje się ustęp: „Księżna, jakoteż hrabiowie Potocki i Wodzicki przyrzekają nic nie podjąć, coby mogło utrudnić lub uniemożliwić dojście do skutku aktu familijnego (t. j. zrzeczenia się ordynacyi na rzecz fiskusa) albo też prawnomocność jego zakwestyonować“. Wzamian za to ks. Sułkowski i jego żona dostali od rządu niewiadomo ile, a pp. A. Wodzicki i H. Potocki mają dostać cztery miliony marek.

Ale żeby umowa stała się ciałem, t. j. żeby rząd pruski dostał Rydzynę a pp. Wodzicki i Potocki pieniądze, trzeba było usunąć wszelkie dalsze przeszkody. Zgłosili się bowiem dalsi krewni. Trzeba było, aby oni proces przegrali. I rzeczywiście przegrali. Ale na rozprawie okazało się, że znowu pomógł tu bardzo hr. Antoni Wodzicki. Mianowicie z jego to strony przedstawiona została interpretacya prawna głównie godząca w dalszych krewnych. Przeszkody usunięto. Rząd pruski weźmie Rydzynę a pp. Wodzicki i Potocki pieniądze.

W jednem z pism już się pojawiło zaprzeczenie, że pp. Wodzicki i Loewenstein „nie mieli i nie mają nic wspólnego z powołaniem przez p. Löwenfelda prof. prawa rzymskiego Kippa“. Są to proste kpiny, bo adwokat Löwenfeld był na gruncie pruskim wykonawcą woli pp. Wodzickiego i Loewensteina i za wszystko, co on zrobił, są oni obaj w całości odpowiedzialni.

Jak się okazuje z przebiegu sprawy Rydzyna została nie stracona, ale przefrymarczona. Znaleźli się Polacy, którzy poszli na rękę rządowi pruskiemu. Że ostatni ordynat ks. Antoni Sułkowski był osobistością marną, to wiadomo. Hr. Henryk Potocki zawinił bardzo ciężko, bo chociaż sam nie występował czynnie, jednak pozwolił działać w swym interesie hr. Wodzickiemu. Ale, jak stwierdzają dokumenty i rozprawy sądowe, najczynniejszy i wręcz ohydny udział w tej sprawie wziął hr. Antoni Wodzicki.

Oczywiście, będzie się teraz twierdziło, że lepiej było wydrzeć rządowi pruskiemu przynajmniej kilka milionów niż nic, ale niewiadomo, kto da się wziąć na takie twierdzenie, bo gdyby rząd pruski czuł się silnie w swych prawach, to i odczepnego by nie dawał. A gdyby nawet pewne było, że rząd pogwałci wszelkie prawa i ordynacyę zabierze, jednak nie należało mu gwałtu zamieniać na prawną umowę. Mielibyśmy o parę milionów odczepnego mniej, ale też nie mielibyśmy tego wstydu, że znaleźli się Polacy, którzy podpisali akt zaboru ordynacyi rydzyńskiej, wydający ją na łup niemczyźnie i pozbawiający chleba kilkaset rodzin polskich związanych z Rydzyną.

Mówią, że p. Antoni Wodzicki postarał się o opinię pisemną dwóch obywateli ziemskich z zaboru pruskiego, którzy, po wysłuchaniu jego własnych adwokatów (śmiech zbiera) orzekli, iż postąpił on jak należało. Okaże się może, czy pogłoski te są prawdziwe i co za niedołęgów wybrał sobie p. Wodzicki do tego szczególnego sądu. W każdym razie świadczyłoby to tylko o sprycie p. Wodzickiego ale wcale nie o jego dobrej woli i dobrej wierze.

Wiadomo także, że ks. Sułkowski przed śmiercią swą oświadczył trzem redaktorom poznańskim, iż zobowiązał pp. Wodzickiego i Potockiego do przeznaczenia „znacznej części“ uzyskanej przez nich kwoty na cele narodowe. Szkoda, że nie zobowiązał także p. Loewensteina do przeznaczenia „znacznej części“ honoraryum adwokackiego na cele narodowe. Po co tu bawić się w obsłonki. Nawet gdybyśmy naprawdę wiedzieli, ile tam jest tych pieniędzy odczepnego i gdyby wszystkie zostały przeznaczone na cele narodowe, zło pozostanie złem, a brud brudem.

P. hr. Antoni Wodzicki.

Co wart jest p. Antoni Wodzicki oddawna nie było tajemnicą. Wiedziano, że głównem jego zajęciem była gra w karty, do której wciągał starych i młodych, siejąc wręcz zgorszenie. Wiedziano, że ten polityk, ubiegający się o pierwszorzędne stanowisko i zabierający głos w najpoważniejszych sprawach i chwilach, nic nie umie, że w głowie jego wogóle myśl poważna nie zaświtała, że jeżeli wmieszał się do polityki, to zawsze tylko dla intryg. Ale od jesieni r. 1908 dowiedziano się nadto, że p. Antoni Wodzicki przyczynił się walnie do zaprzepaszczenia ordynacyi rydzyńskiej, odstąpiwszy wraz z hr. Henrykiem Potockim od dochodzenia praw swych wzamian za cztery miliony marek odczepnego od rządu pruskiego, a teraz okazało się nadto, że w procesie rządu z dalszymi krewnymi, od którego wyniku zależało zrealizowanie owego układu, dopomógł rządowi pruskiemu, postarawszy się o niekorzystną dla dalszych krewnych interpretacyę prawną.

Chociaż od listopada r. 1909 wiedziano dokładnie o tym haniebnym układzie, chociaż wszystkie, także konserwatywne, pisma zaboru pruskiego wystąpiły przeciw p. Wodzickiemu z publicznem oskarżeniem, chociaż oskarżenia te znalazły silny odgłos w pismach każdej dzielnicy, p. Antoni Wodzicki stał dalej na świeczniku.

Niektóre wystąpienia p. Wodzickiego w ostatnim roku były poprostu zdumiewające swą bezczelnością, bo trudno było ich nie wiązać z zażyłością jego z rządem pruskim. Wiadomo, że na parę miesięcy przed obchodem grunwaldzkim właśnie p. Wodzicki wystąpił ze sławnym listem przeciw obchodowi, w którym radził ograniczyć się do nabożeństw żałobno-pośmiertnych, a list ten w lot pochwyciły pisma niemieckie. Później w czasie odwiedzin cesarza Wilhelma II w Wiedniu i uroczystości, od których Polacy trzymali się zdala, na wystawie łowieckiej zjawił się i pokłonił królowi pruskiemu właśnie p. Wodzicki. Wreszcie w ostatniej sesyi delegacyjnej zdumienie ogólne wywołał p. Wodzicki mową w duchu na wskróś pruskim.

Dziwniejsze jednak niż to, co robi sam p. Wodzicki, jest to, jak się odnoszą do niego inni.

Niedawno wybierała Rada powiatowa chrzanowska swego prezesa, marszałka powiatu. Dwa razy wybrano jednogłośnie p. Antoniego Wodzickiego, a gdy on dwa razy zrzekał się tej godności, wybrano go trzeci raz jednogłośnie i wtedy wielki obywatel dał się uprosić i wybór przyjął, niewiadomo tylko w jakich słowach, może jak niegdyś wielki wódz, który powiedział: „Za grzechy moje przyjmuję“. O tych niezwykłych dowodach gorącego zaufania i szacunku, którym się cieszy p. Wodzicki, pisano wówczas podniośle. Rzeczywiście wartoby uwiecznić postacie i nazwiska tej szczególnej Rady powiatowej.

Dnia 24. listopada b. r., a więc już po tej niezwykle nierozumnej i nieprzyzwoitej mowie delegacyjnej p. Wodzickiego, którą podziwiała *N. Fr. Presse* za szyderstwa z p. Kramarza i za dowcipy wymierzone przeciw p. Izwolskiemu, a którą w pełnej delegacyi musiał wyraźnie odrzucić p. Kozłowski, zatem już po tem wystąpieniu, w którem p. Wodzicki pokazał, co umie, wybierano na nowo członków delegacyi z Izby panów. Między dwoma delegatami wyznaczonymi przez Polaków znalazł się znowu p. Wodzicki. Godzi się zapytać, czy polscy członkowie Izby panów, między którymi są wybitni przedstawiciele ziemiaństwa i nauki naszej, nie wiedzą jak p. Wodzicki polityk uje w delegacyach, a przedewszystkiem czy nie wiedzą oni o sprawie rydzyńskiej i wogóle o tem, co to za poważna jest osobistość. Że p. Wodzicki jest członkiem Izby Panów, to nie nasza wina, ale za wysuwanie go w sprawach politycznych odpowiedzialni są wszyscy polscy członkowie tej Izby.

W swoim obozie politycznym, wśród konserwatystów krakowskich, p. Wodzicki jest chorążym. Po zebraniu Prawicy Narodowej d. 4. b. m. ze szczególną czcią wysunięto w sprawozdaniu (*Czas* nr. 555) jego osobę, podnosząc, że „wysoce polityczne znaczenie miało przemówienie hr. Antoniego Wodzickiego“. Wogóle p. Wodzicki, który n. p. w lutym na Kole Sejmowem przedstawił rezolucyę w sprawie uspokojenia stosunków między naszemi stronnictwami, jest mowcą obozuk rakowskiego od wielkiego dzwonu.

To wszystko powinno się wreszcie skończyć. Stronnictwo, któreby wysuwało na czoło takie osobistości, ubliża sobie, ściąga słuszne oburzenie na warstwę społeczną, której p. Antoni Wodzicki ma być przedstawicielem, a przed obcymi okrywa nas wstydem.

Fałsze w sprawie chełmskiej.

W projekcie rządowym o wyodrębnieniu ziemi Chełmskiej najciekawszą jest statystyka wyznaniowa i narodowościowa, na której oparli się autorzy projektu. Wprost zdumiewa fakt opierania się ze strony rządu nie na urzędowych danych statystycznych, w których ścisłość powinniby prawodawcy wierzyć, ale na źródłach prywatnych, w których znowu bezstronność nikt wierzyć nie może. Statystykę do projektu zbierało chełmskie bractwo prawosławne Światoj Bohorodicy pod patronatem episkopa Jewłogija, a opracował profesor uniwersytetu warszawskiego pan A. Francew. Jak owa statystyka była zbierana i jak opracowana, wykazuje znakomicie p. Dziewulski w pracy drukowanej w *Ekonomiście*, która ostatnio wyszła w osobnej odbitce.

Jak wiadomo genezą projektu oderwania Chełmszczyzny było „ułatwienie wprowadzenia do Królestwa Polskiego samorządu“, który po oddaniu gospodarki społecznej w ręce Polaków stałby się, jak przypuszczali autorowie projektu, środkiem „ucisku włościan rosyjskich na prawosławnej Rusi Chełmskiej“. Koniecznem więc było, w oczach rządu, uratowanie tej ziemi przed polonizacyą a włościan prawosławnych przed katolicyzmem. Że jednak pomimo najgorliwszych poszukiwań i licznych prób nie było sposobu odkrajać od Królestwa terytoryum z przeważającą ludnością prawosławną, zaszła zatem potrzeba zebrać taką statystykę, ażeby jakkolwiek uzasadnić przed opinią rosyjską potrzebę utworzenia nowej guberni, która ma służyć celom zupełnie innym. A więc bractwa prawosławne poleciły swoim ludziom zbieranie danych od wsi do wsi, od domu do domu, (prof. Francew powiada, że cyfry zbierano „samodzielnie“, „siłami społecznemi“ „przez pracowników miejscowych“). Owi pracownicy miejscowi, popi i nauczyciele ludowi, płaceni i uczeni przez bractwo chełmskie zbierali dane z taką n. p. ścisłością: „po rusku starzy, reszta po polsku“ albo „większość po rusku“ albo „w tylu i tylu domach po rusku“, a na zasadzie tych „prac“, zestawił p. Francew mapy narodowościowe, pomijając ludność miast i miasteczek oraz dwory wiejskie, gdzie owych mówiących po rusku znaleźć by trudno. Pomimo tej dokładności w zbieraniu, pomimo opuszczenia ludności miejskiej, pomimo wreszcie, że jedynie w 58% miejscowości pracowali wysłańcy bractwa chełmskiego (na 2.144 miejscowości, znajdujących się w tablicach p. Francewa przy 663 niema żadnych danych), prof. Francew wymalował na jeden kolor (przeważająca ludność rosyjska) całe terytoryum nowej guberni i zrobił ją prawdziwie rosyjską, czego właśnie chcieli autorowie projektu mówiąc: „Wytworzona nowa gubernia według składu ludności będzie niewątpliwie gubernią rosyjską“. Zaznaczyć jeszcze należy, że pan profesor w wielu gminach popoprawiał zebrane dane, jak n. p. osada Łosice (po rusku 75, po polsku 80) włączona została do obszaru „z przewagą ludności rosyjskiej“ i takich „omyłek“ jest bardzo wiele.

W statystyce wyznaniowej rozróżniono dwie kategorye katolików: przed ukazem tolerancyjnym i po ukazie. A to w tym celu, aby wioski, w których znajduje się choćby najmniejsza liczba unitów t. zw. opornych, którzy w r. 1905 urzędownie już stali się katolikami, wyodrębnić z Królestwa i oddać pod opiekę całego szeregu praw wyjątkowych i misyonarskich wpływów bractw prawosławnych. Nie cofnięto się przed najbardziej kunsztownem wykrawaniem gmin, przed najbardziej fantastyczną i poszarpaną linią graniczną, byleby stworzyć możność nawrócenia tych, „którzy od prawosławia odpadli“, a którzy w istocie nigdy prawosławnymi nie byli (Ogółem projekt odcina od Królestwa 98.159 katolików „po ukazie“).

O ile statystyka narodowościowa ma uzasadniać „odwiecznie rosyjski charakter Cholmskoj Rusi“, o tyle statystyka wyznaniowa znakomicie wykazuje, jakiego kryteryum trzymali się autorzy projektu przy ustalaniu granic „guberni chełmskiej“.

Uchwały Ostmarkenvereinu.

W społeczeństwie niemieckiem i nawet w pruskich kołach urzędowych coraz wyraźniej zaznacza się zdanie, że dotychczasowa polityka kolonizacyjna względem Polaków nie dała wyników, których się po niej spodziewano. Co więcej w czasach ostatnich rząd pruski, doniedawna posłuszny na każde skinienie hakatystów poczyna w polityce antypolskiej, np. w sprawie wywłaszczania, kierować się własnymi względami, puszczając mimo uszu wrzaskliwe głosy prasy hakatystycznej o polskiem niebezpieczeństwie. Te objawy fiaska polityki kolonizacyjnej wyprowadziły z cierpliwości jej rodzica. Na ostatniem walnem zgromadzeniu odbytem 13. listopada r. b. w Berlinie, Ostmarkenverein zajął już nie tylko wobec nas, ale i wobec rządu, stanowisko wprost wyzywające, żądając kategorycznie natychmiastowego wprowadzenia w życie zapadłych rezolucyi. Są one tak daleko idące i tak śmiałe, i tak urągające poczuciu wszelkiej sprawiedliwości, że mogą być jedynie wynikiem zdenerwowania i strachu przed zbliżającym się bankructwem. Rezolucye te przytaczamy, bo aczkolwiek wpływy Ostmarkenvereinu, jak przypuszczać można, są nieco osłabione, nie na tyle jednak, aby je można było lekceważyć, jeżeli się uprzytomni, jakiemi metodami, intrygami i fałszem, posługują się hakatyści w realizacyi swoich zamierzeń. W sprawie wywłaszczenia przyjęto jednomyślnie wniosek radcy sprawiedliwości Wagnera z Berlina:

„Główny wydział Ostmarkenvereinu ma zaufanie do rządu, że dalej będzie prowadził dotychczasową politykę wschodniokresową. — Ustawa o wywłaszczeniu przez pewien czas miała ten skutek, że wstrzymała cokolwiek zaczepne postępowanie Polaków. W ostatnim jednak czasie wyłoniła się znowu silna jakoteż skuteczna działalność przeciw niemieckiemu stanowi posiadania, wykonywana z niesłychanie nienawistnym i bezwzględnym terroryzmem. Zbawiennemu dziełu osadnictwa grozi zatem niebezpieczeństwo rychłego ograniczenia lub nawet poniechania. Dla tego wydział uważa za koniecznie wskazane, ażeby zastosowanie ustawy z dnia 20. marca 1909 r. jak najspieszniej rozpoczęło i tem samem wzmocniło się niknące zaufanie ludności niemieckiej na wschodzie do pewnego i trwałego przeprowadzenia naszej polityki antypolskiej. — Dalej ponawia wydział prośbę do rządu królewskiego, aby jeszcze w najbliższej sesyi sejmowej przedłożył projekt ustawy, uzależniającej dzielenie dóbr (parcelacyę) na wschodzie od zezwolenia władzy królewskiej. Tylko taka ustawa może ochronić przed dalszemi stratami ziemi niemieckiej“.

W sprawie nowej ordynacyi zabezpieczenia uchwalono rezolucyę v. Widderna z Berlina:

„W interesie zachowania i wzmocnienia niemczyzny w dzielnicach Rzeszy, zamieszkanych przez Polaków, uważa towarzystwo kresów wschodnich za nieodzownie konieczne, aby w ordynacyi zabezpieczania ustanowiono przepisy w celu zapobieżenia pomnożenia się środków siły Polaków z wykorzystania zarządzeń ordynacyi zabezpieczenia dla celów narodowo-polskich. Towarzystwo kresów wschodnich poleca przeto:

1) aby w zabezpieczeniu chorych pracodawcom dać równe prawa głosowania z pracobiorcami;

2) dla krajowych kas chorych przygotować wewnętrzne urządzenie, odpowiadające projektowi rady związkowej;

3) przepisać, by wybory do organów przedstawicieli zabezpieczeń odbywały się publicznie, skoro najwyższa władza administracyjna tak rozporządzi;

4) język niemiecki ustanowić jako wyłączny język przy załatwianiu interesów i rozprawianiu w zarządach kasowych;

5) przy uregulowaniu kwestyi lekarskiej systemu wolnego wyboru lekarza ani ustawą przepisywać ani wogóle popierać i przygotować zarządzeń, któreby nie ręczyły, że kasy chorych tego systemu lekarzy nie muszą zaprowadzić przeciw własnej woli“.

Poza tem przeprowadzono dyskusyę nad niemieckim stanem posiadania na G. Śląsku, gdzie, jak stwierdził pan Tiedemann, pomimo wpływów centrowych tysiące wierzących katolików wstępuje do H. K. T., nad rozwojem banków polskich i zakładaniem niemieckich banków ludowych, nad tegorocznym spisem ludności, co do którego przyjęto rezolucyę, aby konskryptorami byli Niemcy, nad reformą wyborczą do Landtagu, przyczem zgodzono się, że powszechne i tajne wybory są w Prusach niemożliwe, bo wykazałyby przewagę żywiołu polskiego.

Czy najnowsze wystąpienie Ostmarkenvereinu odniesie skutek sądzić dziś trudno. W każdym razie dobrze ono charakteryzuje kryzys, jaki przechodzi hakatyzm, który czuje, że mu się usuwa z pod nóg ziemia, i chciałby na wszelki wypadek zabezpieczyć nowemi zarządzeniami kurs antypolski.

Książki, broszury, wydawnictwa.

Henri Chantavoine: *En province.* Lettres au Directeur du *Journal des Débats.* Préface de M. Paul Deschanel. Paris, Grasset, 1910, str. VII. i 168.

Listy te, ogłaszane przed wyborami z r. 1910, miały na celu wykazać, jak olbrzymie szkody moralne wyrządza Francyi system powszechnego głosowania bez zastępstwa mniejszości. Wołanie to nie było odosobnione ani też bezskuteczne. Ogromna większość posłów ze wszystkich stronnictw wybraną została na podstawie programu wprowadzenia proporcyonalnego zastępstwa. Niejedno przecież zło wynikłe z monstrualnego skojarzenia administracyi Napoleońskiej z ustrojem republikańskim nie łatwo i nie prędko da się usunąć, a dla społeczeństwa naszego, które weszło dopiero w okres głosowań powszechnych, niejedna da się wysnuć nauka z ciężkich przejść narodu pokrewnego nam w tylu rysach charakteru.— Otóż we Francyi dość pospolicie i prawie z reguły poseł, miasto przykład dawać poszanowania praw i żyć spokojnie na równi z innymi współobywatelami w czasie przerwy w pracach parlamentarnych, przywłaszcza sobie najczęściej daleko idące przywileje w swoim okręgu wyborczym i stara się skłonić różne władze publiczne do służenia interesom jego partyi. Polityka wdziera się we wszystkie dziedziny administracyi państwowej. Komitet wyborczy, przyjaciele posła występują wobec władz lokalnych i centralnych z ciągłemi żądaniami. Dawniej nieraz załatwiał im poseł drobne sprawunki po sklepach stolicy, teraz biega w ich sprawach po biurach ministeryalnych, w ich interesie wpływa na postępowanie władz sądowych, zabiega o odznaki orderowe, a te przywileje jednak są krzywdą drugich, są ujmą dla dobra ogółu. Życie nawet drobnych funkcyonaryuszy, listonoszy, dróżników, strażników leśnych i t. d. a przedewszystkiem nauczycieli wiejskich podlega ciągłej kontroli politycznej; n. p. w okresie rządów Combes'a śledzono czy żony i córki małych urzędników przypadkiem nie słuchają mszy, przyjmowano tajne donieisienia od lóż masońskich, szykanowano podejrzanych o niezawisłość zdania. Ideały republikańskie, hasła wolności, równości i braterstwa, stały się pustym dźwiękiem słów i ustąpiły często miejsca brutalnej tyranii przypadkowej większości wyborczej.

Finlande — Alsace — Pologne. W zbiorku *Libres Entretiens* Paris, str. XIV. i 112.

W r. 1906, przy sprzedaży przymusowej dóbr zakonnych we Francyi, wystawiono na licytacyę wspaniałe resztki sławnego opactwa Pontigny z XII. w. Nabył je wówczas p. Paul Desjardin, jeden z kierowników stowarzyszenia *Union pour la vérité*, zajmującego się sprawami szczególnie poruszającemi poczucie sprawiedliwości i sumienie ludzkie, aby w tych starych murach odbywać co lata zebrania i obrady także z cudzoziemcami. W tym roku mówiono, między innemi, o Finlandyi, Polsce i Alzacyi i przemówienia o tych trzech krajach, wydano w książeczce, której tytuł podany jest powyżej. O Królestwie Polskiem mówił p. Zdziechowski i por. Bernardin, o Poznańskiem pp. Bernus i dr. Nicaise. Serdeczna i głęboka wdzięczność należy się naszym przyjaciołom francuskim.

Kronika.

Z zaboru austryackiego.

Koło Polskie. Na posiedzeniu w dn. 6. bm. Koło Polskie w Wiedniu uchwaliło po obszernej dyskusyi nad sprawą kanałową następującą rezolucyę: „Koło polskie poleca swemu prezesowi stanowczą obronę zasad ustawy kanałowej z r. 1910 w myśl ostatniej uchwały Koła sejmowego z dnia 19. listopada 1910 i poleca mu, aby używając wszystkich przystępnych dla Koła środków parlamentarnych, skłonił rząd do natychmiastowego dokończenia wywłaszczenia gruntów na galicyjskiej przestrzeni kanału Kraków-Zagłębie i do rozpoczęcia na wiosnę budowy na przestrzeni Zator-Samborek oraz, ażeby wraz z prezydyum i komisyą parlamentarną skłonił rząd do użycia reszty przyzwolonych ustawą z r. 1910 środków na kanały i budowy wodne w Galicyi i w innych krajach koronnych. Koło polskie poleca prezydyum, ażeby wspólnie z komisyą parlamentarną skłoniło rząd do zabezpieczenia w drodze ustawy dalszych środków na budowę kanału Zagłębie krakowskie-Dniestr i na regulacyę rzek w Galicyi według ustaw krajowych z r. 1901 i 1907".

W sprawie żulińskiej. Dnia 3. bm. odbył się w sprawie głośnych kłamstw żulińskich wiec nauczycielstwa polskiego we Lwowie, które potępiwszy agitacyę ruską, stwierdziło, że sprawa żulińska jest świadomem ze strony Rusinów podkopywaniem powagi nauczyciela w Galicyi wschodniej, wyraziło współczucie pp. Greissom i zażądało wniesienia w tej sprawie interpelacyi w parlamencie celem prawdziwego wyświetlenia całej afery.

Ubytek ludności we Lwowie. Wobec zbliżającego się spisu ludności pisma lwowskie podnoszą, że procent ludności polskiej we Lwowie maleje, na korzyść żydów i Rusinów. Gdy w roku 1880 języka polskiego we Lwowie używało 85.3 proc. ludności, języka ruskiego 5.8 proc., zaś niemieckiego 8.3 proc. w roku 1910 stosunek ten wynosił dla języka polskiego 76.9 proc., a więc o 8.4 proc. mniej, dla ruskiego 9·6 proc. (+ 3.8 procent.), niemieckiego 13 proc. (+ 4.7 proc.). Również procent wyznaniowy zmienił się na niekorzyść katolików. Stracili bowiem w dwudziestu latach 1.8 proc., zaś Rusini (gr.-kat.), zyskali 2 proc., a Żydzi 0.9 proc.

Gospodarka socyalistów. Jak donosi *Gazeta Narodowa*, zarząd drohobyckiej powiatowej kasy chorych, składający się z socyalistów, został przez władze rozwiązany. Równocześnie sprawę gospodarki w kasie oddano prokuratoryi państwa.

Zabiegi klubu ruskiego. Klub posłów ukraińskich w wiedeńskiej Radzie państwa prosił bar. Bienertha o traktowanie sprawy uniwersytetu lwowskiego junctim z utworzeniem fakultetu włoskiego. Bar. Bienerth wręcz oświadczył, że zwłaszcza po ostatnich zajściach na uniwersytecie lwowskim, spełnienie życzeń ruskich nie ma żadnych widoków powodzenia.

Nieszczęścia dr. Dudykiewicza. Po przeprowadzeniu rewizyi w „Samopomoszczy" kołomyjskiej, członek komisyi rewizyjnej, dr. Jurczenko uczynił szereg zarzutów dr. Dudykiewiczowi za rujnującą i nieuczciwą gospodarkę w „Samopomoszczy", w „Sojuzie promysłenno-torhowelnym", w „Karpackiej Kramnyci", w „Russkim Domi", w „Bractwie cerkiewnem" i w „Św. Michajłowskim Instytucie". W czasie rozprawy sądowej dr. Jurczenko udowodnił wszystkie zarzuty podniesione przeciw p. D. Pomimo to, p. dr. Dudykiewicz nadal będzie reprezentował „Rosyan w Ujarzmionej Rusi".

Z zaboru rosyjskiego.

Sprawa Chełmska. Podkomisya Dumy w sprawie wyłączenia Chełmszczyzny zakończyła swoje prace 3. b. m. Większością głosów uchwalono art. I. projektu postanawiający o wyłączeniu nowej guberni z Królestwa Polskiego. Przedstawiciel Koła Polskiego pos. Dymsza wniósł protest przeciw tej uchwale, powołując się na kongres wiedeński i statut organiczny Królestwa. Gubernia Siedlecka zostaje zniesiona; uchwalono termin wprowadzenia w ży-

cie uchwały na styczeń r. 1913. Na posiedzeniu poprzedniem uchwalono rozszerzyć granice guberni, dołączając do niej części 7 powiatów gub. Siedleckiej i Lubelskiej, tak że cała ordynacya Zamoyskich wejdzie w skład nowej guberni, tudzież postanowiono wprowadzić „prawa", na mocy których przedstawienia dramatyczne polskie mogą odbywać się jedynie za pozwoleniem gubernatora, także od pozwolenia gubernatora jest zależne przesiedlanie się osób z Królestwa Polskiego, przy kupnie majątku od Polaka Rosyanin jest zwolniony od opłaty skarbowej, oddawanie w dzierżawę własności „obrocznej" jest dla Polaków wzbronione.

Przemysł w Królestwie. Liczba wielkich fabryk w Król. Polskiem wzrasta. Organizuje się Tow. akcyjne z kapitałem 500.000 rub w celu budowy fabryki maszyn w Kutnie; pod Żyrardowem i pod Częstochową powstają 2 fabryki zapałek; w pow. Częstochowskim spółka ziemian przystępuje do budowy krochmalni, nadto jeden z ziemian zakłada fabrykę porcelany; pod Sochaczewem buduje się wielka fabryka sztucznego jedwabiu z kapitałem 4 milionów rb.

Wolności konstytucyjne. Za znalezioną u jednego z oficyalistów klasztornych, w czasie rewizyi w klasztorze na Jasnej Górze, poduszkę z wyszytym białym orłem, policya skazała właściciela na miesiąc więzienia. — Prezes Tow. lekarskiego w Mińsku lit. p. Janowski pociągnięty został do odpowiedzialności za propozycyę uczczenia przez powstanie pamięci zmarłego prezesa I. Dumy Muromcewa. W Kijowie policya zakazała odczytu p. Mostowskiego o „polskiej twórczości literackiej XIX".

Rozwój maryawitów. Jak podaje *Alt katol. Volksblatt* sekta maryawitów liczy obecnie 34 duchownych, 120 zakonnic, 54 kościoły, 166 kaplic, 35 ochronek i 16 szkółek z 3.700 uczniów, 32 warsztaty rzemieślnicze, 5 sklepów spożywczych, 1 księgarnię i 1 drukarnię, która wydaje *Wiadomości maryawickie* i *Maryawitę.* W jęz. litewskim jest wydawany miesięcznik *Maryavitas.* Sekcya dzieli się na 2 prowincye, polską i litewską, na czele których stoją „prowincyałowie-ministrowie", a na czele całego kościoła „generał-minister".

Z zaboru pruskiego.

Kurczenie się ziemi polskiej. Pogłoski, które kursowały o nowej sprzedaży ziemi polskiej niestety się sprawdziły. Mianowicie p. Bartecki sprzedał swój folwark Kunowo w pow. mogileńskim obszaru 300 mg. Komisyi kolonizacyjnej; pisma poznańskie przestrzegają przed tym panem, który po przefrymarczeniu Kunowa obecnie pertraktuje z pewnym obywatelem z Ostrzeszowa o kupno jego 700 morgowego majątku. — Na subhasty zostały wystawione dobra Choryń i Jeska w pow. Kościańskim, obszaru 6 tys. mg., niegdyś własność gen. Taczanowskiego; nadzieja ocalenia tych majątków jest niewielka.

W Reichstagu. W dniu 28. i 29. listopada toczyły się obrady nad projektem zaprowadzenia opłat celnych od przewozu towarów w żegludze krajowej. Jest to sprawa doniosłego znaczenia gospodarczego, bo w razie podrożenia komunikacyi wodnej pewne gałęzie przemysłu ponieść mogą znaczne szkody. Z tych względów i ze względów politycznych przemawiał przeciw projektowi pos. W. Korfanty, jako przedstawiciel Koła Polskiego. Projekt odesłano do komisyi, większość jest za projektem z pewnemi zmianami.

Wybory. Zebrania wybrane w okręgu Śrem-Środa-Września, opróżnionym przez rezygnacyę pos. H. Szumana, przeważnie uchwalają kandydaturę adw. W. Trąmpczyńskiego. Na drugie i trzecie miejsce demokraci stawiają M. hr. Mielżyńskiego i adw. Karpińskiego z Gniezna, zaś lista konserwatywna poleca p. Z. Chłapowskiego z Turwi i ks. Kurzawskiego z Pakości. Wyboru nowego posła dokonają dotychczasowi wyborcy, jak zwykle w wyborach uzupełniających.

Biskup-sufragan gnieźnieński. Ojciec św. mianował biskupem-sufraganem w Gnieźnie ks. kan. Kloskego, rodem ze Śląska. *Kurier Poznański* zarówno jak i inne pisma wita nominacyę z zadowoleniem i stwierdza, że nowy biskup nie jest człowiekiem o szerszych aspiracyach narodowo polskich, ale jako wierny syn polskiego ludu górnośląskiego czuje się członkiem społeczeństwa polskiego, mówi zawsze z otoczeniem po polsku i myśli o doli naszej rzetelnie i sprawiedliwie.

Ostmarkenverein. W tych dniach ogłoszono sprawozdanie bractwa trzech liter za r. 1909, według którego liczba członków jego z końcem ub. roku wynosiła 50 tys., grup miejscowych było 430, największe w Poznaniu, Berlinie, Gdańsku i Bydgoszczy. Dochody grup wynosiły 150.000 mk., a cały majątek związku H. K. T. dochodzi do 700 tys. mk.

Walka o ziemię. W ostatnich czasach przeszły w ręce polskie dwa większe majątki ziemskie. P. W. Gałdyński nabył od Niemca m. Trzygóry obszaru 400 mg w pow. obornickim, i p. Żółtociński wykupił z rąk niemieckich 1000 morgowy m. Buczkowo pod Gniewkowem.

Wydawca: **Dr. Adam Skałkowski.**
Odpowiedzialny redaktor: **Dr. Józef Browiński.**

Redakcya i **Administracya**: Lwów, ul. Sykstuska 46, ekspedycya ul. Murarska 31.

Drukarnia Ludowa we Lwowie, plac Bernardyński 7.